



№ 38.

Prenumerata w Warszawie:
rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 19 września 1868 r.

Prenumerata na prowincyi i w ce-
sarstwie w osobnych kopertach:
kwartalnie rs. 3 1/2.

TOM II.

Treść numeru. Siejba, obrazek z naszych okolic (z drzew.) — Kronika tygodniowa. — Do gwiazdki (wiersz). — Wiejska gawęda, podsluchana i spisana przez A. Dembowskiego (z dwoma drzeworytami). — Kościół w Belzycach (z drzeworytem). — Urywki z dziennika. — Przegląd polityki zagranicznej. — Silni i słabi, powieść (dalszy ciąg). — Szkice z życia warszawskiego (drzew.) — Szachy. — Rebus. — Nieśmiały, komedia w jednym akcie, według Edwarda Paillerona. Mur mitoyen, ułożył wierszem Kazimierz Kaszewski (dalszy ciąg). — Dodatek nadzwyczajny: Pierścień Amazysa, powieść przez Owena Meredith'a (dalszy ciąg).

SIEJBA,

(Obrazek z naszych okolic).

Zbudzony wschodem słońca, wiedziony nadzieją,
Idzie młodzian na pole, kędy ziarno sieją;
Snadź równa życie swoje do zasianej roli,
Na której czeka runi.

Wtém dwór śród
[topoli
Zaświecił mu w oddali za wioską, przy
[borze,
Dwór z gankiem, a na ganku dziewczę
[jako zorze
Z fartuszka karmi ptastwo — widać go-
[spodarna,
A oblicze wesołe, a sukienka czarna.

Ale oko młodzieńca od niej się odwraca,
Leci wprost tam gdzie słońce okienko
[poziłaca,
Gdzie u stóp starych dębów, jak prze-
[laszczki kwiatek,
Kwitnie dziewczę i tworzy z ogródka
[swoją świecikę.
Krasna wstążka otacza włos lśniący i
[kruczy;
Jakże jęć z tém do twarzy!.. Któż to
[dziewcząt uczy?..
Patrzy na nią... i chmurka przebiega mu
[czoło.
Zabłysnął bór śród topól — i znów mu
[wesoło.
Kościół stoi przy dworze, kościół go
[przyzywa...
Cóż, gdy tam serce jego na pół się roz-
[rywa!

Więc myśli sobie: Czemu dla chrześcian
[jest grzechem
Mieć razem cztery żony?! Z jakim to po-
[śpiechem
Przez cały maj-bym jeździł, a w każdą
[niedziele

Z kolei się oświadczał, — a w piątą... wesele!
O, dniu błogi, czterykroć dla mnie uświęcony!
Wprowadziłbym do domu razem cztery żony!
Krysia, zbudzona pierwsza z jutrzeńki zaraniem,
Podoiłaby krówki, czekała z śniadaniem;
Zosia-by na dzień dobry zaśpiewała cudnie,
Pogwarzyła wesoło; — a w samo południe

Marylka, ranne swoje zmówiwszy pacierze,
Przyszłaby mówić ze mną o świecie i wierze;
A ja, na skrzydłach myśli w niebo uniesiony,
Słuchałbym — słuchał — słuchał, w Rózię zapatrzony!

Gdybyż z tych czterech dziewic, na wzór Praksytela,
Jedna powstała żona w dniu mego wesela!
Ale to być nie może! trzeba mi koniecznie
Jedną wybrać, tę kochać, być jej wiernym
[wiecznie..
A więc wolę tymczasem bawić się i zwle-
[kać,
Przewidywać i marzyć... byle jęć doczekać.

Gabryela Puzynina.



Układ i rysunek Antoniego Zaleskiego.

Kronika tygodniowa.

Więc i Bilse żegna już Warszawę. Tegoroczna kampania powiodła mu się niepomału. Ze sprawozdań każdodziennic w gazecie policyjnej zamieszczanych dowiadujemy się, że publiczność na koncerta Bilsego w dolinie Szwajcarskiej codziennie uczęszczająca, do znacznej dochodziła liczby. Nawet podczas deszczów po kilkaset ludzi się tam zgromadzało, a w święta bywało po tysiąc i więcej.

Pożądanem byłoby żeby te sympatyje Warszawian do utworów przez orkiestrę wykonywanych, dopisały i koncertom symfonicznym pana Münchheimera, które się wkrótce rozpoczną a przez całą porę zimową trwać będą. Oprócz bardzo przystępnej ceny, która jest jednym z głównych warunków powodzenia tego rodzaju wystąpień koncertowych, pan Münchheimer, zgromadziwszy dostateczne siły, zapowiada nam wiele bardzo ciekawych rzeczy. Pomiędzy innymi usłyszymy podobno pieśń św. Wojciecha, która ma być wykonaną według pierwotnego wzoru, to jest *unisono* przez chóry, oraz

kilka utworów Kurpińskiego.

W ogóle cały repertuar składać się będzie przede wszystkim z dobranych kompozycji klasycznych, z którymi publiczność muzykalna tutejsza, rozlubowana w błyskotkach nowej szkoły, niedość jeszcze jest oswojoną. A muzyka mistrzów ma to głównie do siebie, że im bardziej przyjdzie się w nią wstuchiwać, tym więcej odkrywa się w niej piękności.

* * *

Tutaj właśnie przychodzi nam na pamięć rozmowa, którą słyszeliśmy niedawno.

Rzecz była o muzyce.

Jeden z interlokutorów dziwił się iż znajdują się ludzie, dla których muzyka nie tylko nie posiada żadnego powabu, ale nawet wstrętną w wielu razach się okazuje.

I gdybyż ci ludzie byli pozbawieni wykształcenia, albo przynajmniej należeli do rzędu oddających się czysto materialnym uciechom, zboczenie to nie wydawałoby się tak dziwnym. Ale widzieliśmy osoby zkadłinał inteligentne, lubujące się w innych sztukach pięknych, widzieliśmy kochających poezję, znawców malarstwa i rzeźby, dla których jedna tylko muzyka stanowi wyjątek w tej ogólnej miłości wszystkiego co nadobne, co dowodzi podniosłości ducha człowieka.

— Nie dziwiecie się temu, odezwał się jeden z obecnych. Rzecz to bardzo prosta.

— Ciekawym jakim nam pan sposobem to wytłumaczysz.

— Bardzo łatwo mi to przyjdzie. Wszyscy ci nieprzyjaciele muzyki dotknięci są wadą organizmu...

— Jakto?

— Tak jest, upewniam państwa. U każdego z nich organ słuchowy podlega chorobie mniej lub więcej rozwiniętej.

— Ależ przecie znam wielu takich, co słyszą doskonale, a jednak...

— Słyszą wyraźnie, ale fałszywie. Najczęściej ta wada ma siedlisko w jednym tylko uchu. Każdy dźwięk fałszywie do nich dochodzi, a że przyzwyczaili się już do tego od dzieciństwa, nie wiedzą nawet o tym upośledzeniu swoim. Więc muzyka, która dla innych jest źródłem tylu przyjemności, im sprawia tylko przykrość instynktownie pocztą.

Niechby jednak zbadali stan swój i zatkali sobie hermetycznie jedno ucho, to ręczę że drugim słyszeliby najdoskonalej i zagustowaliby wkrótce w muzyce, do której dziś wstręt mają.

— Więc pan sądzisz że z tej wady możnaby się wyleczyć?

— O i bardzo łatwo, byle chcieć tylko. Szkoda że dotychczas niewiele robiono doświadczeń pod tym względem. Ale znam dwóch czy trzech takich, którzy z mojej porady poddali się kuracji, i to z najlepszym skutkiem. Z zapamiętałych wrogów muzyki, zrobili się oni zapalonymi jej zwolennikami. Poprawili sobie słuch i nic więcej...

Powtórzyłem wam ten ciekawy wyjątek z rozmowy, tak jak go usłyszałem. Czy rzeczywiście wstręt do muzyki pochodzi z wady słuchu, o tym nie moja rzecz sądzić; być jednak może iż uwaga powyższa jest słuszną i że ta wada organizmu, jeżeli istnieje rzeczywiście, dałaby się poprawić u wielu dotkniętych muzykofobią.

Koncerta zyskałyby na tym, ale znalazłoby się zapewne i niemało takich, którzy nie chcieliby być wyleczonymi. Bo z pomnożeniem przyjemności, mnożą się i wydatki.

* * *

Niedawno przeniósł się do wieczności Jan Gautier, jeden z najstarszych członków Towarzystwa Dobroczyńności, powszechnie ceniony jako człowiek prawych zasad i zacności wielkiej.

Rodzina Gautierów przeniosła się z Francji do kraju naszego w końcu osiemnastego stulecia, unikając

zaburzeń rewolucyjnych. W owym czasie kilkanaście rodzin francuzkich obrabło sobie stałe zamieszkanie w Warszawie, a potomkowie ich żyją dziś pomiędzy nami, zachowawszy tylko w nazwiskach ślad swego pochodzenia.

Niepróżno utrzymują ludzie, że niektóre cnoty i przymioty dziedzicznymi są w rodzinach. Działalność na polu dobroczynności przechodziła w spadku u Gautierów z ojca na syna.

Stryj obecnie zmarłego, zamieszkały również w Warszawie przy początku bieżącego stulecia, znany był z oryginalnego sposobu życia i pewnej szorstkości w obchodzeniu się z ludźmi, która nie wykluczała przecie wielkiego miłosierdzia, jakiego często dawał dowody.

Pomimo znacznych strat piędnych doznanych w młodości, był to człowiek zamożny wielce, chociaż trudno było oznaczyć cyfrę jego fortuny, lubił bowiem ukrywać się z tem co posiadał.

A jednakże nie był to człowiek skąpy, o czém przekonywa następujący fakt, opowiedziany nam przez wiarogodną osobę.

W parę lat po zawiązaniu tutaj Towarzystwa Dobroczyńności, pan A** kupiec tutejszy, jeden z członków tego Towarzystwa, został wydelegowanym wraz z innymi do zbierania składki na drzewo dla ubogich.

A zima w owym roku była bardzo ciężka.

Pan A., któremu przypadło w udziale zbierać składkę w okolicach Krakowskiego przedmieścia, zaszedł i do mieszkania pana Gautier, gdzie samotnik, jak zwykle, siedział przy kominku, zawinięty w ciepły szlafrok.

— A z czém to pan Bóg prowadzi? odezwał się gospodarz, widząc otwierające się drzwi i wchodzącego do pokoju znajomego sobie dobrze pana A. **

— Ot widzisz, mój dobrodziej, panie Piotrze, przychodzę tutaj w małym interesiku.

— A jakież to interesik?

— Ot niewielka subiekcyja dla ciebie, mój dobrodziej, a jednak Panu Bogu na chwałę, a ludziom na pożytek. Zaczynają się mrozy, i to mrozy nielada, a Magier ciężką zimę na ten rok przepowiedział.

— No, on to musi wiedzieć, bo ma rozum od tego.

— Więc Towarzystwo Dobroczyńności pragnęłoby przysporzyć ubogim opału, żeby to biędactwo nie pomarzło, boć drzewo drogie, a tu i chleba niema czasem za co kupić. Więc ponieważ fundusze Towarzystwa nie starczą na taki wydatek, postanowiono udać się do dobroczynności prywatnej i ja chodzę po kweście.

— A no to dobrze, poczekaj no asindziej.

I to mówiąc, Piotr Gautier uniósł się trochę z miejsca, wyjął z pod poduszki fotelu na którym siedział dość sporą paczkę i oddał ją kwestującemu.

— Co to jest? zapytał ten ostatni.

— A no, to moja składka. Proszę wziąć, to tam sobie asindziej obejrzyj na co stać chudobie takiego jak ja doktora bez praktyki *). A teraz zapiszemy trochę tę sprawę, bo przyszedł mi właśnie zapas świeżego wina, więc dobrze że asindziej wypróbujesz je ze mną. Hej Janek!

Janek służący stawiał się na wezwanie i po kwadransie posiedzenia kwestujący, pokrzepiony kilkoma kieliszkami wyborowego Burgunda, wyszedł na ulicę.

Ale jakież było jego zdziwienie, gdy otworzywszy paczkę, ujrzał w niej dwadzieścia tysięcy złotych w wekslach, sumę na owe czasy bardzo znaczną.

— Widocznie staruszek musiał się pomylić, rzekł do siebie pan A**, trzebaby iść go przestrzedz.

I nie myśląc wiele, powrócił na trzecie piętro z paczką już otwartą.

— A co to, czy zapomniałeś asindziej czego? zapytał Gautier, dopijający powoli resztkę wina w ostatnim kieliszku pozostałą.

*) Piotr Gautier był wykwalifikowanym we Francji doktorem medycyny, ale nie praktykował.

— Nie o to mnie idzie, panie Piotrze dobrodziej, ale ta paczka...

— No i cóż ta paczka?

— Tam jest dwadzieścia tysięcy, a to tyle na raz piędędzy, że...

— Ot, zaczynasz asindziej bredzić. Wszak dałem i kwita. Zużyje się to, bo ubogich niebrak. A mnie tu ciepło: mam szlafrok podszyty futerkiem i perukę z której się ludzie śmieją, bo żółta, ale dobrze łysinę ogrzewa. A biędne ludziska marzną tymczasem. Niechajże i im będzie wygoda. Idźże sobie asindziej z Bogiem i zabierz ze sobą piędędzy, to dla mnie mniej będzie kłopotu, a tam się przyda.

Rzeczywistość tego faktu łatwo sprawdzić w Towarzystwie dobroczynności.

Jak zaś dobrze powiedział Piotr Gautier, komu ciepło i wygodnie, ten powinien pamiętać żeby i drudzy nie zmarli.

* * *

Rzecz dzieje się na kolei żelaznej.

Do wagonu drugiej klasy wsiada jakiś pan niemłody już wiekiem, czterech młodych ludzi i... sprawozdawca tego wydarzenia.

Drzwi się zatraskują, słychać wołania konduktorów, lokomotywa gwizdże.

Cały pociąg rusza z miejsca, więc osoby zamknięte w wagonach na jedną, a nawet kilka stacyj tworzą nierozdzielne towarzystwo.

Po kilku chwilach jeden z młodych panów zapala papiéros. Trzej pozostali wyjmują również z kieszeni papiérosy i zaczynają kurzyć.

Dym napelnia cały wagon. Jegomość w podeszłym wieku zaczyna się krztusić; widocznie dym tytuniowy nie służy mu. Ale młodzi ludzie nie zważają na to i kurzą w najlepsze.

Wtém kaszlący sięga do kieszeni i wyjmuje sporą flaszkę. Zapewne jest to jakiś środek oddziaływający przeciwko woni tytuniowej. We flaszcze znajduje się płyn brunatny, mętny, niemiłej powierzchności. Nieprzyjaciel tytoniu odytka koreczek.

Nagle rozchodzi się po wagonie woń okropna. Jest to jakby asafetyda w połączeniu z jakimś nieokręślonemi gazami, słowem coś nieznośnego.

Panowie palący zaczynają z niecierpliwością poruszać się na miejscach, a właściciel flaszczeni buja nią na prawo i na lewo, jakby się miłował zapachem płynu w niej zawartego.

— Na miłość Boską, zamknij-że pan tę flaszkę, woła jeden z palących przyduszonym głosem. Bije od niej woń tak straszna, że wytrzymać trudno.

— Dla mnie ona niestraszna wcale, odzywa się właściciel flaszczeni, owszem przyzwyczaiłem się do niej i ona sprawia mi przyjemność.

— Ależ przyjemność pańska nie powinna być powodem udęczenia dla sąsiadów, a my tu wszyscy nie możemy ścierpieć tej woni; więc prosimy pana o zatkanie flaszki.

— I owszem, ale zrobię panom uwagę, że mnie znowu dym tytuniowy szkodzi, więc proszę o zgaszanie papiérosów; bo jakkolwiek panowie przyzwyczailiście się do nich, jak ja do mojego płynu, na mnie szkodliwe one wywierają skutki.

Nie było co robić, należało zgodzić się na żądane ustępstwo. Papiérosy wyleciały za okno, a flaszczeni wróciła do kieszeni.

Tylko panowie palący przyrzekli sobie pocichu, że skoro któremu z nich siadać jeszcze kiedy przyjdzie do wagonu, to się obejrzy wprzód na wszystkie boki, czy niema tam przypadkiem owego pana z flaszczeni...

* * *

Jeżeli myślicie, czytelnicy, że nie mam kandydata któryby wynalazł sposób szybowania po powietrzu, to się bardzo mylicie.

Ale naumyślnie nie ogłaszam jego listu, czekając aż wszystkie zapowiedziane sposoby zrobią na dobre *fiasco*, czyli po naszymu mówiąc, kark skręca. Wówczas wystąpię tryumfalnie z projektem mnie powierzonemu, a dzisiaj to tylko powiem, że zależy on na rodzaju ubrania bardzo lekkiego, które człowiek przywdziéwa na siebie, a następnie potrzebuje już tylko machać rękami i nogami i kiwać głową, dla nadania sobie kierunku. Trochę to męczące, ale choćby jazda powietrzna się nie udała, to owe ćwiczenia gimnastyczne w każdym razie na zdrowie pójdą. Wynalazca upewnia mnie, że już przejechał tym sposobem z jednego dachu na drugi i proponował mi toż samo doświadczenie. Przyznam się szczerze iż odmówiłem, nie nęci mnie bowiem sława Szymona czarnoksiężnika; ale jeżeli wynalazca nie złamie ręki lub nogi, przyrzekam wam za kilka miesięcy piorunujące ogłoszenie.

* * *

Dońszą nam o fakcie co najmniej szczególnym w swoim rodzaju.

Niedawno zmarł jeden ze znakomitszych badaczy starożytności, którego ścisłe związki przyjaźni łączyły z innym mężem, znanym także na polu nauki i mniej więcej w tymże samym pracującym kierunku.

Ludzie ci, rówieńnicy prawie, (obydwaj doszli do lat sędziwych) dość często komunikowali się ze sobą, udzielając sobie nawzajem rad i spostrzeżeń.

Otóż badacz wspomniany na lożu śmiertelnym wymienił kilkakrotnie nazwisko przyjaciela, o którym w chorobie zapomniał był prawie, jak gdyby ostrzegając, że wkrótce i tamtemu przyjdzie pora z nim się połączyć.

I stało się tak, bo w kilka tygodni przyjaciel ów także przeniósł się do wieczności.

Dodać jeszcze należy, że w dniu w którym ta wróżba się spełniła, córka zmarłego miała sen, w którym zdawało jej się że przyjaciel ojca przychodzi z nią się pożegnać.

I za kilka godzin otrzymała wiadomość że ów przyjaciel nie żyje już.

Wypadki tego rodzaju niejednokrotnie już miwały miejsce, wiadomość zaś o fakcie który przytaczamy, poczerpnęliśmy od blizkiego krewnego jednego ze zmarłych.

DO GWIAZDKI.

Gwiazdka mała! Na wyżynie
Gdzie ty świecisz, błogo, jasno!
A tu — życie w chmurach płynie,
A tu — ducha gwiazdy gasną.

Gwiazdka mała, rozświetlona
Tchnieniem Pana! Z myślą Bożą
Do mojego spłyn tu łona,
Gdzie się bóle z bólów mnożą.

I tak rozświeć ducha ciemnie,
By świątynią był w potrzebie,
By tak prawda lśniła ze mnie,
Jak wieczyste blaski z ciebie.

Gdy klęsk na mnie spadnie brzemię,
Duch mój przecie, jasny w sobie,
Niech lśni jako w Betlejemie
Tyś nad Bóstwem lśniła w żłobie.

Niech mię wiedzie przez łez morzę,
Bym nie zbłądził w więzach ciała.
Spłyn do łona, światło Boże!
Spłyn tu z wiarą, gwiazdka mała!

Klemens Podwysocki.

WIEJSKA GAWĘDA,

podśluchana i spisana

przez

A. Dembowskiego.

OSOBY:

MACIEJ, gospodarz-konserwatysta.

JAN, gospodarz tak sobie.

ATANAZY, gospodarz postępowy.

MACIEJ.

Co mi tam, panie, wasze nowości
Proszki, guana, pługi, maszyny!
U mnie, jak dawniej, bat, podstarości,
I pachciarz Mordko.

ATANAZY.

Ważne przyczyny
Znaglają kroczyć postępu drogą,
Bośmy, sąsiedzie, w tyle zostali,
Wolno się wlokąc noga za nogą.
Teraz, chcąc nie chcąc, musim iść dalej.

MACIEJ.

No proszę, panie, a mnie kto zmusi?!

ATANAZY.

Bięda, kochanku, bięda, mój panie,
Która nas wszystkich potrochu dusi
I dusić będzie, aż złe ustanie.

MACIEJ.

Skaranie Pańskie! A cóż w tém złego,
Że jak dziad orał, i ja też orzę?
Czyż to mi mędrszym zostać od niego,
Gdy wiem że ściuł grosik za zboże?

ATANAZY.

Ha, mój sąsiedzie, patrz co się dzieje:
Świat powędrował krokiem olbrzyma,
I dzisiaj każdy tylko się śmieje
Z tych, co żalują tego co niema.

JAN.

Oj prawda, prawda, bracie mój miły!
Dobrze pamiętam, suszyłem głowę
Gdy przeszloroczne pszenice zgniły,
A żytko były nikłe, jałowe.
Krętu i wężu, z kąd tu wziąć, panie,
To na podatki, to dla czeladzi?
Trzeba do Żydów... Boskie skaranie...
Chyba mój Szlama na to poradzi.
Jakoż poradził, niech go śnieg spali!
Bo tak mnie ujął w swoje pazury,
Że się dziś Żydek za Żydkiem wali,
Dzisiaj są Moszki, jutro Lajzury.

MACIEJ.

Ha, bo mój Jasiu, u ciebie huczno,
Gości jak nabił; codzien u stołu
Winko się znajdzie, smaczno i tuczno,
I co masz sprzedać, to zjadasz wołu.

Trzeba, brateńku, zacisnąć brzucha,
Zbyć go wędzonką, podpiwką, wodą,
Zjeść w barszczu kawał świńskiego ucha,
Chociaż to dzisiaj u was nie moda,
I grosz do grosza gromadzić w pocie,
Sprzedawać wszystko, a nic nie kupić,
Chodzić w dreliszku, w prostej kapocie,
Wyciągnąć cenę, Żydka obłupić,
Wstawać raniatko, dreptać po dworze,
Łazić po piętach zawsze czeladzi,
Śledzić po stajni, śledzić w oborze,
Czy się złodziejska sprawa nie zdradzi,
Żonco, córeczkom ująć obroku,
Wypędzić z domu modne firleje,
Krzyć i fukać na każdym kroku,
Gdy się coś stłucze, kiedy rozleje,
Jeździć uprzężą tylko parcianą,
Bo to i taniiej i lżej dla konia,
Dryndę mieć prostą, swojską, wicianą,
Podjezdki do niej z własnego błonia,
Cygarko rzucić; diabliż po dymie,
Że mi pod nosem śwędzi i kurzy!
Dymu jest dosyć w każdym kominie,
Więc na cóż w gębie?—a to koszt duży.

ATANAZY.

Na twoje zdanie ja się nie godzę,
Choć niby mądre, panie sąsiedzie,
Boś oczywiście na mylny drodze,
Wołając sknerstwo w ratunek biedzie.
Sknerstwo rzecz brzydka i grzeczna Bogu;
Gdy się głęboko w krew, w duszę wpije,
Wyziębł serce mocą nałogu
I miłość bratnią, co w piersi żyje.
Dzisiaj nauka w pomoc przychodzi
Nowemi środki wciąż rolnikowi,
Jedno po drugim odkrycie rodzi,
Nauka przyszłość naszą stanowi.
W niej tylko trzeba szukać pomocy,
Aby się starą opędić biędzie
I tój co za nią idzie niemocy,
Ale nie w skąpstwie, ale nie w Żydzie.
Zajrzyjmy tylko w postronne kraje,
Zobaczmy łany, zobaczmy plony,
Jak zgrabną skibę nowy pług kraje,
Jako koszlawe znikły zagony,
Jako rozumu Boska potęga,
By ulżyć ciężkim rolnika trudom,
Same żywioły do pracy wprzęga
I tworzy dzieła co równe cudom.
Tam otrzymanie większej korzyści
Mniej niżli u nas pracy kosztuje,
Bo tam się na nich przysłowie iści,
Że mądry zbiera, głupi marnuje.

MACIEJ.

Ho, ho, mój Jasiu, idź, idź do szkoły.
Ucz się i ucz się, a potem bratku,
Zbieraj kosteczki, zbieraj popioły,
To tak zmądrzejesz, że na ostatku,
Gdy ci już rozum w głowie osiędzie,
Gdy będziesz mądry, jak talmudysta,
To gospodarzyć na czém nie będzie,
Bo wioska pójdzie do diabłów trzysta.
I jam był głupi, i ja wierzyłem
W te nowomodne wasze mądrości,
I tém się grubo, grubo sparzyłem.
Miałem guano, miałem i kości,
W głęboką orkę rzuciłem siewy,
Na nich z guana rozsiałem mączkę,
A potem z tego sprzątnąłem plewy
I głodno w zimie lizałem rączkę.
Dziś od lat kilku te specały
Próżno mi w spichrzu walają kąty.
Weź, Jasiu, hurtem ładunek cały,
To ci opuszczę procent dziesiąty.

JAN.

Nie żartuj sąsiad z tego co boli.
I jać miarkuję, że mi wypadnie
Wcale inaczej wziąć się do roli,
Tylko w tém bięda, że to niesadnie.

Człek w trzypolówce zbiera i sieje,
I choć się staram robić co mogę,
To mi rok rocznie dochód maleje,
Że już się z kijem wybieram w drogę.
Widzę ja przecie że Atanazy
Z tegoż obszaru większe ma zbiory
I łakę swoje kosi dwa razy,

Ma pełne stajnie, pełne obory,
Grosz mu nietrudny, a przedtém było
Tak, jako u mnie do dziś dnia jeszcze,
Że się piszczało, że się kurezyło,
Lazło z drugimi Żydowi w kleszcze.
Ty, mój Macieju, choć masz talary,
Lecz proszę spojrzeć na twą wioszczynę,
To musisz przyznać, gderaczu stary,
Że ona kiepską bardzo ma minę.
Przy skapstwie twojém jakaż uprawa,
Jakież z twój roli mogą być plony,
Kiedy wół w jarzmie utyka, stawa,
Kiedy wybojów pełne zagony?
Rowów nie bijesz, bo szkoda grosza,
Co wiosna woda zalęwa pola,
A by nie ruszyć pełnego trzosa,
Masz tę wymówkę: „to Boża wola.“

MACIEJ.

Ho, ho, to prawi niby kazanie
Mnie na naukę — niech cię śnieg spali!
Lecz jak w płot kulą trafiasz mosanie.
U mnie ten dobry (pokazując na kieszeń)
[co się tu chwali.

A tobie, bratku, choćby w kieszenie
Nawet astronom spojrział z lunety,
To tam zobaczy takie zaćmienie,
Że i on nosa skrzywi, niestety.
Piędz, mój bracie, to nie litera,
I kto się tylko dochrapie trzosa,
Może drwić sobie nawet i z Thaera,
Co jak mól z księgi nie wytknie nosa.

Patrz na mnie, wi-
[dzisz, nędzna fi-
[gura,
Buty łatane i szara-
[wary,
Czapka wytarta, su-
[kmana bura,
Lecz każdy, czując
[że mam talary,
Zdała mnie widzi —
[ściska, całuje,
Kłania się, prosi
[bym go nawié-
[dził,
U siebie poi, karmi,
[częstuje,
A jak bez tego, to-
[by się wstydził.

JAN.

Taki szacunek, pa-
[nie Macieju,
Nie wszyscy lubią.
[Ja z mojej stro-
[ny
Nie jestem z takich,
[mój dobrodzieju,
Co to ciełcowi biją
[pokłony.
Chętnie część od-
[dam zasłudze,
[cnocie,
Choćby i pustki by-
[ły w kalecie,
Nigdy mamonie
[zwalanej w bło-
[cie,
Którą lży plamą i
[krzywdą gniecie.

MACIEJ.

Ha, co kto lubi, mój panie Janie.
Te wasze cnoty, wasze zasługi.
Znaczą zjeść codziennie smaczne śniadanie,
Ładnie się ubrać i robić długi.
A że tam który rzuci grosz spory
Na jaki szpital, jakąś ochronę,
To się wnet znajdą i oratory,

Co o tém prawią duby smalone.
Choć przyznaj bratku, że te jałmużny
Tak roztrąbione, tak pełne chwały,
Wynikły bodaj z tój chętki próżnej,
Aby na podziw ludziom błyszczały.
Ha, co kto lubi. — Co do mnie, bracie,
Jam nie łakomy na smaczne kęsy;



Układ i rysunek Kostrzewskiego.

Skromniuchno, cicho siedzę w swój chacie,
Zjem nawet obiad bez sztuka mięsy;
Lecz zato tutaj (wskazując kieszeń) jest głośna
[chwała,

Która i dłużej i głośniej może
Będzie od waszój w powiecie brzmiała,

Nie grzeszyć, jeśli ojce grzeszyły.
Tak, panie Janie. Więc w Imię Boże
Weź się do roli żwawo, rozumnie,
Módl się i pracuj, a Bóg wspomóż.
W chwili zwątpienia przyjeżdżaj do mnie
I w spólnój radzie szukaj pociechy,
A pan Bóg zdarzy, że coraz dalej

Zmażesz lenistwa prastare grzechy,
Bo kto pracuje, ten Boga chwali.
Znacie Józefa, no i on przecie
Wziął po rodzicach szczupły majątek
Z długiem dość wielkim; sami to wie-
[cie,

Jak był zniszczony ten smutny kątek.
Dzisiaj w lat kilka jakaż odmiana!
Budynki schludne, czyste i całe,
Rola, starannie wciąż uprawiana,
Daje w nagrodę plony niemałe.
Ale też chłopak wziął się do pracy
Całemi siły z czeladką swoją,
Nie tak jak inni wiejscy próżniacy,
Co za grosz krwawy lorety stroją.
Miał tam bałnisko jakieś pod laskiem,
Kwaśne, błotniste, szuwar jałowy;
Teraz, gdy nawiózł obficie piaskiem,
Gdy spuścił wodę, pokopał rowy,
Otrzymał łączkę piękną aż miło,
Z której ma rocznie po dwa pokosy.
Drugimby o tém ani się śniło,
Jak zmienić w trawę krzaki i wrzosa.
Miał też poletek jeden piaszczysty,
Który oddawna nie znał pognoju,

Niby nic nie wart, bo wydmuch czysty,
Leżał odłogiem sobie w spokoju.
Lecz przy poletku były dwa stawy,
Zalazłe szlamem jeszcze od wieka,
Ni z tego ryby, ni z tego trawy,
Był to skarb przecież, lecz dla człowieka.
Józio się skrzętnie z pracą uwinął,

Zima nadeszła, z
[nią ulgi pora,
Bo prac pilniej-
[szych termin u-
[płynął,
Odetchła stajnia,
[stała obora.
W owym więc cza-
[sie potęgą woli
Nasz chłopak wziął
[się do dzieła zwa-
[wo:
Szlam wydobywa na
[brzegi roli,
Potém rozwozi w
[lewo i w prawo.
I cóż powiecie? zni-
[kła piaszczyna;
Dzisiaj idź zobacz,
[powiesz że czary,
Tak się tam pięknie
[krzewi ożmina,
Za którą weźmie
[grube talary.
I to nie jedno, nie
[koniec na tém.
Czeladź ma wierną,
[która pracuje,
Choć podstarości
[nie stoi z batem,
I tylko słowo pań-
[skie pilnuje.
Rzucił oddawna
[starą rutynę,
Bo ona dzisiaj już
[nie wystanie,
I na przedplonach
[siejąc ożminę,
Ma piękne zbiory
[przy płodozmia-
[nie.



KOŚCIÓŁ W BELŻYCACH. (Rysował z natury Wł. Zieliński.)

JAN.

Od takiej chwały ochroń nas Boże!

ATANAZY.

Wstydz się, sąsiedzie, bądźże człowiekiem!
Na to dał Stwórca rozum i siły,
Aby iść pracą na równi z wiekiem,

Lecz on nietylko pracuje w roli,
Bo wolnym czasem wertuje księgi
I krok za krokiem, chociaż powoli,
Zasila umysł z wiedzy potęgi.
Bóg błogosławił w pocziwym trudzie;
Dziś już bez długów dobytek mnoży.
Mylą się, dziwiąc, leniwi ludzie,

Że to nie praca, że palec Boży. —
Masz zatém, Jasiu, przykład gotowy,
Że to nie bajki, że to nie cuda,

Ułowi ptaszka na swoje wędę;
Lecz ja powtórzę nie raz, sto razy,
Że takim głupim nigdy nie będę.

Kościół w Belżycach.

Świątynia ta, ozdobnej włoskiej struktury, wznosi



Główne wejście do biblioteki uniwersyteckiej w Krakowie. (Rysował z natury A. Gryglewski).

Lecz trud poczciwy ręki i głowy.
Spróbuj-no tylko, pewno się uda.
MACIEJ.
No, no, już widzę, pan Atanazy

Dmij sobie w manią tę postępowa,
Ale pamiętaj co dziś świat ceni;
Bo talar teraz u ludzi głową,
A postęp, bratku, siedzi w kieszeni.

się na jednej z główniejszych ulic miasta, a rozmaite
przechodziła koleje. Pierwotnie zbudowaną była
z drzewa, ale kiedy i przez kogo, niewiadomo. W XVI
wieku kościół belżycki zajęty został na zbór kal-

wiński, a po pożarze i odebraniu kalwinom w r. 1670, Feliks Szaniawski własnym kosztem zmienił go na murywany. Konsekracją pod wezwaniem ś. Stanisława, odbył ks. biskup Kaźmirz Lubieński. W roku 1822 zgorzał powtórnie, lecz parafianie podnieśli go z gruzów i z gruntu odnowili. Nareszcie w r. 1855 został nanowo wyrestaurowany i doprowadzony do tego stanu, w jakim go dziś widzimy.

Przy kościele tym do północnej ściany przypięra kaplica z gustownie wykończonym ołtarzem, w którym mieści się obraz Chrystusa Pana na krzyżu, wykonany przez Władysława Bakałowicza w Warszawie, r. 1857; pędzel gładki, kolorystyka żywa i rysunek wielce poprawny. Obraz ten stanowi jedną z najpiękniejszych ozdób kościoła, do których również policzyć można ołtarze: Matki Boskiej częstochowskiej i św. Antoniego padewskiego. Ołtarz wielki architektonicznie wykonany, jest w całości grubo złocony; ale zamieszczony w nim obraz przedstawiający wskrzeszenie Piotrowina, nadzwyczaj lichego pędzla, psuje harmonię całości.

Ponieważ kościół ten ulegał kilkakrotnym pożarom, z tego więc zapewne powodu niema w nim żadnych zabytków starożytnych, a sprzęty i aparata kościelne są widocznie wyrobem tegoczesnym. Nagrobków też starożytnych, napisów dawnych, rzeźb, malowideł dawniejszych, a nawet przeszłowiekowych kościół bełżycki nie posiada. W wizycie biskupiej księdza Skarszewskiego z r. 1822 znajduje się nawet wzmianka, że w pożarze tegoż roku spłonęła i biblioteka kościelna, wraz ze wszystkimi dokumentami pierwotnej erekcji.

Do kościoła tego przypięra bardzo obszerna zakrystya, a nad nią znajdują się dwa pokoiki, w których, według podania i akt miejskich, Jan III w przejeździe z Warszawy zamieszkiwał dłuższy czas, z przyczyny choroby jaka go w drodze dotknęła.

Obecny proboszcz bełżycki, ks. Michał Antulski, objąłszy parafię w r. 1855, zastał kościół w zaniedbaniu i ogołocony z najpotrzebniejszych przedmiotów służących do odprawiania służby Bożej; to też zaopatrzył go w te przedmioty i wewnętrzne przyozdobienia swoim staraniem i kosztem dokonał.

Władysław Zieliński.

Urywki z dziennika.

Jaka samodzielność potrzebna jest przedewszystkiem kobiecie.

Dziś, gdy tak wiele mówią i piszą o kobietach, o tym stanowisku które one w społeczeństwie zajmą usiłują, o ich zdolności do zajęcia go i prawach które do tego mają — niechżeż i ja wypowiem moje wyznaczenie wiary w tym przedmiocie.

Przedewszystkiem mówić będę nie o tym co chciałabym ażeby kobieta wywalczyła sobie w przyszłości, ale o tym na co dziś, przy obecnym stanowisku swoim, uskarżać się ma prawo. Otóż mnie się zdaje, że zanim kobieta osiągnie różne wysokie w rządzie i kościele godności (czego, mówiąc nawiasem, domagać się dla niej nie myślę) dobrzeby było ażeby piérwój świat naprawdę uznał w niej człowieka; tego bowiem człowieczeństwa często, bardzo często, a niekiedy i słusznie, odmawiają dziś jeszcze kobiecie, i to właśnie w wyższej, cywilizowanej sferze, w którejby się tego mniej niż gdzieindziej spodziewać można.

Zakochani i poeci nazywają kobietę aniołem, widzą w niej jakąś czarodziejską rusałkę, jakąś eteryczną istotę, godną ubóstwienia, ale niekoniecznie szacunku. Mężowie widzą czasem w żonach nie już sługi i niewolnice, bo takie barbarzyńskie wyobrażenia minęły bezpowrotnie, ale pełnoletnie, lecz niegodne usamowolnienia dzieci, istoty bierne, słabe, kapryśne, które kochać, pieścić, pielęgnować, ale koniecznie na pasku prowadzić trzeba, a więc szanować niepodobna. Tak zwany wielki świat widzi w kobiecie pustą, wystrojoną lalkę, będącą wprawdzie najpiękniejszą ozdobą salonu, ale służącą tylko za bawidełko dla mężczyzn, którzy przed nią chętnie zginają kolana i bałwochwalcze składają jej hołdy,

lecz szanować także jej nie mogą. Ci wreszcie, co to sami grzęzną w brudnej kałuży zepsucia i zatrutym tylko przyzwyczajeni oddychać powietrzem, nazywają kobietę wcielonym szatanem; bo też oni ociężają się tylko o te upadłe istoty, przedstawiające ohydny widok potwornego moralnego kalécstwa, a innych nie znają wcale i ocenićby nie umieli.

Czémżeż jednak jest, czém naprawdę powinna być kobieta? Kobieta to nie anioł, to nie żadna nadziemska istota, jak ją szaleńcom podoba się nazywać, to nie heroina z romansu — kobieta to nie ta bezduszna piękność, myśląca tylko o podobaniu się i stroju i nie ta też nędzna istota, nad którą wtedy tylko litować się warto, gdy nie z własnej winy powalała się w błocie. Kobieta to tylko zwykła śmiertelniczka, to poprostu człowiek z niezatartym ducha piętnem. Kobieta to ta córka opromieniona życiem rodziców uśmiechem przywiązania, niewinności i zaufania bez granic. Kobieta to dziewczę, marzące miłość i szczęście, a nie mające nawet pojęcia o tym, że są na świecie jakieś brudne żądze i upojenia zmysłowe. Kobieta to ta żona, odrywająca wybranego swego od czczych przyjemności które go brukały, otaczająca urokiem miłości, życie poświęcone obowiązkom i pracy. Kobieta to matka, dla której uśmiech dziecka największą rozkoszą, wychowanie jego najświętszym obowiązkiem, szczęście najbardziej upragnionym celem. Kobieta wreszcie, to ta niewiasta, która w jakimkolwiek położeniu, na jakimkolwiek stanowisku, zawsze umie kogoś kochać, dla kogoś pracować, kogoś pielęgnować, pocieszać, uzacniać, dla kogoś się poświęcać.

Jeżeli jednak nie każda jest taką, jeżeli znajdują się kobiety tak mało pojmujące obowiązki swoje, tak chętnie uganiające się za fraszkami, z takim upodobaniem oddające się czczym światu przyjemnościom, tak skłonne do różnych grymasów, fantazyj, niedorzecznych wymagań, tak wreszcie mało baczące na godność niewieścią, której równo z życiem strzedz winny, że tylko znalazłszy w mężu rozsądnego przewodnika, jako tako na właściwym swoim utrzymać się zdołają stanowisku, — to doprawdy nie jest ich winą...

To wina mężczyzny, którzy hołdując najwięcej w kobiecie jej próżności, chcą by ona zawsze pozostawała zerem i służyła tylko ku ich zadowoleniu; to wina tych, co się trudnią jej wychowaniem, a strojąc ją w talenta, kształcąc nawet jej umysł, czynią to tylko w celu aby się kiedyś podobać mogła i męża usidliła, a o tym żeby ją do samodzielnego usposobić życia, nie pomyślą wcale. Tymczasem kobiecie samodzielność potrzebną jest koniecznie, samodzielność mówię, nie samowolność, — bo to wielka różnica. Samodzielność, to nie ten brak wszelkiej uległości w córkach, nie chęć przewodzenia w żonach; to tylko zrozumienie swych obowiązków i umiejętność pełnienia ich bez czyjegós steru.

Być może iż w Ameryce kobiety doszły już do takiej dojrzałości umysłowej, do tak wysokiego moralnego udoskonalenia, że wolno im wyższe mieć dążenia; my tutaj mamy jeszcze tak wiele do wywalczenia w tym dzisiejszym niewieścim tylko prac naszym zakresie, że i samodzielność o którą się starać możemy, takie przedewszystkiem powinna mieć granice. Niech u nas kobieta tak przynajmniej będzie wychowana, aby umiała ostać się sama na świecie, aby zameżcia za konieczny w swém życiu nie kładła warunek, aby była przygotowaną na to, że może nie pójść za męża, a jednak nie rozpaczła o przyszłości i miała to przekonanie, że na jakimkolwiek Bóg ją postawi stanowisku, wszędzie potrafi stać się użyteczną i własną zasługą zyskać część i szacunek u ludzi. Tak tylko myśląca młoda osoba nie zmarunie najpiękniejszych lat swoich ubieganiem się za hołdami i szukaniem męża; taka tylko potrafi być pociechą rodzicom, a nie ciężarem dla nich, nie plagą w domu, jaką bywają często terażniejsze panny, sobą zajęte jedynie. Taka też tylko, zostawszy starą panną, nie skwasi resztę życia żalem za młodością i utyskiwaniem na ludzi; będzie nawet szczęśliwą, bo nie wystudziwszy serca próżnością, potrafi zawsze drugich kochać, dla drugich pracować, a więcej do szczęścia nie trzeba kobiecie. Taka wreszcie, jeśli pójdzie za męża, pewno zostanie dobrą żoną i matką, pewno pojmie całą wielkość powołania swego i dopełni godnie swych obowiązków, nie dlatego że ich do-

pełnić musiała, bo ją mąż w należytych trzymał rygorze, ale że ich dopełnić *chciała*.

Ażeby tak wychować kobietę, potrzeba głównie dać jej za podstawę religią, ukształcić jej serce i nauczyć ją jakiegokolwiek pożytecznej pracy, obok czego wyższe wykształcenie umysłu nie zawadzi też wcale. To wyższe wykształcenie nie może być uważane za jedno z wychowaniem, bo wieśniaczka np. jest dobrze wychowaną, choć nie umie gramatyki, bo od dzieciństwa do ciężkiej nawykła pracy, znaczy coś przecież na świecie i jest daleko użyteczniejszą społeczeństwu, od niejednej wystrojonej elegantki, grającej na fortepianie i czytającej romanse. To więc wyższe wykształcenie, nie będąc podstawą wychowania, gdyż tą jest tylko religia i poznanie swoich obowiązków, może być jednak dla kobiety wielką pomocą do godnego ich spełnienia i środkiem do uprzyjemniania życia sobie i drugim. Odjąwszy kobiecie zbyteczne zamiłowanie strojów i zabaw, wzbronisz jej próżności i zalotności, trzebaż jej koniecznie co innego dać w zamian; trzeba zamiast tego kłamliwego światowego blasku którym dotąd jaśniała, innym otoczyć ją urokiem; trzeba oświecić jej umysł, obudzić w niej szczytniejsze upodobania, trzeba żeby przestawszy być bóstwem któremu mężczyźni bałwochwalcze biją pokłony, nie została przecież zabrukana klucznicą, gniewliwą gospodynią tylko. Niech więc zasmakuje w czytaniu, niech polubi naukę, niech się szczerze, nie dla popisu, poświęci jakiemu talentowi. Wszakżeż nie potrzebuje koniecznie być autorką albo artystką. Niech jej tylko wolno będzie wybiedz czasem myślą po za obręb kuchni i domu, dotknąć skarbow nauki i sztuki tak niewyczerpanych i po okruszynie dla siebie ich zdobyć, a znajdzie w tym pewno więcej rozkoszy, niż w najświetniejszej zabawie, i wrażenia ztąd odniesione odmalują się na jej twarzy jaśniejszym blaskiem od tych, którychby doznała na balu.

Tym sposobem, umilając sobie życie, nie uchybi pewno obowiązkom swoim; boć łatwiej to przecież z obowiązkami matki i pani domu pogodzić zajęcie się jakąś godziną na dzień książką, fortepianem lub pędzlem, niż ciągle oddawanie się zabawom i światu.

Jeżeli np. młoda matka, po całodziennych trudach około domu i dzieci, ułoży je już wieczorem do spoczynku, przeżegna krzyżem świętym i odmówisz cichą nad ich kołyską modlitwę, otworzy później książkę i użytecznym czytaniem odświeży sobie umysł — czy przez to zrobi taką krzywdę dzieciom, czy tak utraci porządek w jej domu, jak wtenczas, gdyby zostawiła wszystko na łasce służących i do późnej nocy bawiła na balu? Samo przygotowanie jednego stroju balowego małoż to zabiera czasu?

Zresztą wykształcenie prawdziwe zasadza się właśnie na lepszym obowiązków swych pojmowaniu i umiejętności ich pełnieniu. Jakżeż np. ograniczona matka potrafi rozumnie wychować swe dzieci? czyż zdanie jej będzie miało dla nich jaką wagę? czyż zyska poszanowanie swych synów? Tysiące przykładów uczy, jakiego lekceważenia najlepsze lecz ograniczone matki od swych dzieci doznają.

Cóż kiedy to wyższe wykształcenie kobiet tak źle pojmowane bywa i tylu ma przeciwników. Wprawdzie przyznano już kobiecie bardzo rozciągle pod tym względem prawa, ale tylko w książkach i pismach peryodycznych, w życie jednak nie zostały one dotąd wprowadzone. Zawsze jeszcze kobieta prawdziwie wykształcona jest prawie zjawiskiem, częściej trafiającą się niż dawniej, ale z którym ludzie nie mogli się jeszcze oswoić.

Nauki bardzo skąpo udzielane są kobietom i służą im tylko do błyszczenia na świecie, gdy właśnie prawdziwie rozumna pewno z tym co umie popisywać się nie będzie. Cóż kiedy trudno świat o tym przekonać, większa bowiem część panów naszych jest zdania, że kobieta wykształcona, a raczej uczona, jak się wyrażają, nie może być ani dobrą matką, ani dobrą żoną, ani szczególnie dobrą gospodynią. Rozmawiać nawet z taką przychodzi im z trudnością, bo też znajdują tyle innych, które chętnie każdy najniedorzeczniejszy komplement, każdy żart przyjmują — a to ich tak bawi, choćby nawet sami najrozumnijsi byli.

W świecie spotyka się najczęściej dwa rodzaje kobiet: dobre gospodynie i tak zwane kobiety światowe. Piérwsze, przy ładnej twarzyczce, są najbar-

dziej poszukiwane na żony, bo też istotnie doskonale to kucharki, a obok tego zacie z nich często niewiasty, najlepsze żony i matki, oddane całkiem mężowi i dzieciom; tylko czasem dla rozrywki zabawiają się ploteczkami. Kobiety światowe mają znowu więcej powierzchownej ogłady. Zwykle mówią językami, grają, śpiwają, są dowcipne i przyjemne w towarzystwie; ale to wszystko służy tylko ich próżności. Stroją się w dowcip i talenta, tak samo jak w pióra i brylanty; dla nich modne ubranie, bal, jak największa liczba wielbicieli, to jedyny cel życia; o jakichś tam obowiązkach nie mają nawet pojęcia. Ten rodzaj kobiet straszliwie poniża całą pleć niewieściami, a jednak jakież ogromne powodzenie kobiety takie zyskują w świecie! Tylko mądrych kobiet mężczyźni lękają się jak ognia, nazywając tak każdą, która choć trochę wyższe ma wyobrażenia.

Dziwne to doprawdy, że kiedy kobiety najbardziej lekkomyślnie pogardzają najpiękniejszym mężczyzną, jeśli w nim nie widzą pewnej wyższości moralnej, jeśli go znajdują niedołącznym lub głupim, — mężczyźni (że już pomijam tych, dla których żona jest cyfrą, a małżeństwo rozwiązaniem zadania arytmetycznego) największą wartość w kobiecie przywiązują do jej piękności, a gdy ta ich podbija, troszczą się tylko o to, czy w niej znajdują dobrą gospodynię i czy nie będzie czasem chciała nad nimi przewodzić. Pod tym ostatnim względem słusznie się lękają, bo tylko kobieta bardzo pospolitych pojęć zdolna jest do takich uzurpacji małżeńskich. Ale oni tego właśnie nie rozumieją. Upewnieni częstokroć pozorami tylko, nie wahają się w wyborze i najkrótszą do celu idąc drogą, to jest drogą pochlebstwa, rozdmuchują jeszcze tę próżność, która tak poniża kobietę i na której później sami najwięcej szkodzą; ożeniwszy się zaś, sądzą że sama ich powaga, sama potęga władzy mężowskiej potrafi dobrą żonę, matkę i znaną panią domu.

Szczególniejsza naiwność! O! tam gdzie niema głęboko wpojonego uczucia obowiązku, tam nic nie pomoże ani powaga męża, ani zazdrość jego, ani czujność największa. Kobieta płocha znajdzie zawsze tysiące sposobów oszukania męża, choćby ją nawet zamykał; uparta zawsze potrafi postawić na swoim, choćby nawet pozornie uległa była; złośnica dom zmieni w piekło, gdy popędliwości swęj nie będzie zdolna hamować rozumem, a ograniczona nie przestanie grzeszyć brakiem taktu i niewłaściwym znalezieniem się, choćby do ślepego posłuszeństwa nawykła, bo nie umiając stanąć na równi z pojęciami męża, uwag jego zrozumieć nawet nie zdoła. Żaden więc mąż nie powinien polegać ani na miłości swęj żony, bo ta może ostygnąć, ani na bojaźni którą w niej wzbudził, ani na posłuszeństwie do którego ją włożył. Ale gdy pozna że tłem jej duszy jest wiara i cnota, a obok stosownego wykształcenia prawdziwy posiada rozsądek, niech będzie pewny że mu pozostanie nazawsze wierną i uległą żoną; że z tęg samęj pobudki nie zaniedba ani wychowania dzieci, ani gospodarstwa domowego, choćby w niem nawet upodobania nie miała; że mimo wrodzonej czasem żywości charakteru, potrafi się powstrzymać od gwałtownych uniesień i oszczędzi mężowi tak nieznośnych w domowym pożyciu kłótni, swarów i krzyków, bo nie zapomni że złość nieumiarkowana jest tylko bezrozumnych cechą. Gdyby się zaś w zapatrywaniu na rzeczy z mężem różniła, gdyby o czem fałszywe miała zdanie, łatwo mu będzie z nią się porozumieć, sprostować jej wyobrażenia nie rozkazem, ale przeświadczeniem. Wreszcie, choćby istotnie słabego była zdrowia, przy największej nawet drażliwości nerwowej pewno spazmów nie dostanie z przyczyny modnej sukni lub koronkowego paltotu, nie zachoruje na ułożoną przez siebie podróż za granicę, nie dokuczy mężowi niedorzecznymi kaprysami i żadnych wielkich ofiar, możność jego przechodzących, wymagać dla siebie nie będzie.

Otóż to taką żoną będzie każda kobieta, gdy ją nie wychowają na bezduszną, pustą lalkę, gdy ją nauczą o własnej moralnej stać sile; mąż zaś, któryby względem takiej przybierał rozkazujący ton pana domu, nadużywałby tylko prawa mocniejszego i własnej ubliżał powadze.

Są jednakże mężowie, którzy dotąd nie chcą zro-

zumić, że tam tylko może być szczęście i miłość w małżeństwie, gdzie żadna strona nie próbuje użyć przewagi nad drugą, gdzie każde z małżonków myśli tylko o szczęściu drugiego, gdzie oboje umieją sobie wybaczać wzajemnie trafiającą się czasem chwilę złego humoru; bo to pewna, że choć rozumna żona potrafi znieść z godnością nawet niedelikatne obejście męża, trudno jednak by zachowała mimo to niezmienną zawsze dla niego czułość i żalu choć czasowo nie miała w sercu.

Lecz jeżeli samodzielność i wyższe wykształcenie tak są potrzebne kobiecie której życie zwykłą poszło koleją, o ileż więcej jeszcze potrzebne tęg, która za mąż nie poszła, lub wcześniej została wdową. Taka powinna nie tylko strzedz sama swęj dobrej sławy, by nie padł na nią żaden cień krzywdzącego podejrzenia, ale jeszcze powinna własną zasługą zyskać cześć i szacunek u ludzi. Taka, jeżeli ma majątek, powinna być zdolną nim zarządzać, a jeśli go nie ma, powinna być tak usposobioną, by mogła własną pracą byt swój zapewnić.

Otóż nad tęg potrzebą pomyśleć pilnie, żeby podać kobiecie środek do zapracowania sobie na kawałek chleba, bez odrywania jej jednak zbyt od domu, bez wyprowadzania z właściwej dla niej sfery; każde bowiem zajęcie któreby stawiało ją na widowni, któreby ją zmuszało do publicznych występów, już w mojem przekonaniu jest dla niej niewłaściwe. Położenie artystki naturalnie uważam za wyjątkowe, jak wyjątkowem jest to namaszczenie które ona uzyskuje z nieba.

Dziś mówię tylko o pospolitych kobietach, dla których pragnęłabym jakiś niezależny zawód obmyśleć, by je od srogich nieraz zmian losu zasłonić, a jednak pozostawić na tęg stanowisku czysto niewieściami, tak dla nich zaszczytnem, na którym stojąc są nie tylko chluba i szczęściem rodziny, ale jeszcze mogą być apostołkami postępu i tęg wszystkiego co zacie, piękne i dobre, bez zajmowania nawet katedr profesorskich.

Bogumiła.

Przegląd polityki zagranicznej.

18 września

Cesarz Napoleon, przywitany z zapalem w obozie pod Châlons, osobiście miał przekonać się, że armia jest nader wojowniczo usposobiona. Okrzyki „Nad Ren! nad Ren!” towarzyszyły podobno przy odjeździe cesarzowi, a wydawali je nie tylko żołnierze, lecz nawet generałowie i oficerowie. Dziękując za przyjęcie, Napoleon III powiedział między innymi, że nie może im wystawić całego swego zadowolenia, gdyż dzienniki nie omieszkałyby dopatrzeć wojny w każdym jego słowie. W rzeczy samej, opinia publiczna we Francji, a raczej większość, wierzy w wojnę tak usilnie, iż żadne zapewnienia pokojowe na nic się przydadzą. Trwożliwość usposobienia daje się czuć obecnie nie tylko po dziennikach, lecz i po giełdach europejskich, na których kursa papierów publicznych spadają bezustanku. Tak np. w dniu 15 b. m. renta francuzka spadła blisko o półtora franka, włoska o frank jeden, a nawet pruskie papiery silnie się zachwiały. Przyczyniła się wprawdzie do tęg pośrednio mowa króla pruskiego w Kiel (o której niżej wspomniamy) lecz głównym powodem były pogłoski nadchodzące z Paryża o wojowniczym usposobieniu rządu, o uwolnieniu od obowiązków p. de Moustier i powołaniu do ministerium spraw zagranicznych p. Drouyn de Lhuys i tysiące innych, znanych już naszym czytelnikom. Gdyby p. Drouyn de Lhuys i p. de Lavalette wrócili do gabinetu, byłaby to rzeczywiście okoliczność nader ważna, pierwszą bowiem jest stronniakiem przymierza z Belgią, Holandją i Szwajcaryą, drugi silnym wzrostu Prus przeciwnikiem. Dotąd jednakże nie odebrałszy potwierdzenia tak ważnego faktu. Niektóre dzienniki francuzkie ogłosiły depeszę p. Thile, zastępcy ambasadora pruskiego w Paryżu, do p. de Moustier, zawiadamiającą tęg ostatniego o rozpuszczeniu przez rząd pruski 120,000 ludzi, w widokach utrzymania

poкою. Patrie zaprzeczyła temu, dowodząc iż nie tylko że depesza ta nie istnieje, lecz że gdyby nawet istniała, znaczenie jej byłoby żadnem, Prusy bowiem rozpuściły część wojsk z powodów finansowych, mianowicie dla zmniejszenia kredytów na armię w budżecie związkowym. Cesarz Napoleon bawi obecnie w Biarritz, zkąd udał się w dniu 16 b. m. do obozu pod Lannemezan.

W dniu 14 b. m. król pruski zwiędził miasto Kiel i przyjęty tam został z zapalem. Rektor uniwersytetu Ludemann wystąpił z przemową i wyraził życzenie utrzymania pokoju. Monarcha pruski odpowiedział, że nikt żywięj od niego nie pragnie utrzymania pokoju, gdyż wiadomo jak ciężką jest rzeczą dla monarchy wyrzec słowo „wojna”, lecz — dodał król — bywają okoliczności w których monarcha nie może i nie powinien uwolnić się od podobnej odpowiedzialności. Wspomniał następnie o tęg, że niema powodu do zakłócenia pokoju w Europie, król Wilhelm dodał: „Co was jeszcze bardziej uspokoi, to widok zgromadzonych tu przedstawicieli armii i marynarki, tęg głównej siły naszęg ojczyzny, która złożyła już dowody, że umie przyjąć narzuconą walkę i zwycięzko ją skończyć”.

Słowa te, pomimo zaznaczenia iż niema w Europie powodu do zakłócenia pokoju, wywarły piorunujące na giełdy wrażenie, szczególnięj zaś na paryżką, i to do takiego stopnia, że komisarz giełdowy w d. 15 b. m. ogłosił okólnik, zawiadamiający że ministrowie spraw zagranicznych, wewnętrznych i skarbu oświadczają, iż słowa króla pruskiego w Kiel wyrzeczone dotyczą jedynie wojny z 1866 roku i nie mają związku z obecnymi okolicznościami. Bądź co bądź, tak z tęg jak i z tamtęg strony Renu, pomimo iż nic takiego nie zaszło, coby zakłócić mogło zgodę między mocarstwami, opinia ogólna wierzy w wojnę, bliższą, lub dalszą, lecz nieuniknioną. Dzienniki pruskie oburzone są na rząd francuzki, a więcej jeszcze na prasę półrządową, siejącą obawy wojenne. Neue Pr. Ztg. zapytuje się co znaczą owe dowodzenia, że przestąpienie granic Menu może być uważanem za casus belli? W tymże dzienniku zauważyliśmy wzmiankę o potrzebie przymierza z Austrią i powoływanie się w tym względzie na opinię dzienników wiedeńskich. Prasa francuzka nie wierzy w możliwość tęg przymierza, tak z powodu przypuszczenia że na zjeździe salzburgskim ułożone zostało przymierze Austrii z Francją, jakoteż i dlatego głównie, że prasa wiedeńska jest dziś wyrazem małej tylko części ludności państwa austryackiego, reszta zaś krajów przechyla się ku Francji. Są to wszystko dziennikarskie przypuszczenia i widoki, którym zbyt dużego znaczenia dawać nie należy. Cesarz austryacki wraz z małżonką i dworem, w towarzystwie ministra rolnictwa hr. Alfreda Potockiego, udaje się do Galicji; zwiędzić ma Kraków, następnie zaś uda się do Lwowa. Dzienniki wiedeńskie obawiają się aby Galicja w Przedlitawii nie otrzymała takiego stanowiska, jakie posiada Kroacya w Zalatawii, tęg bardzięj że węgierskie ministerium popierać ma te dążenia. Gdyby zmiana ta urzeczywistnioną została, ministerium przedlitawskie musiałoby podać się do uwolnienia. W Czechach rząd chwycił się względem opozycji środków surowych. Marszałek sejmku zawezwał 81 nieobecnych posłów, aby stawili się na sejm w przeciagu, dni 14, w przeciwnym bowiem razie nowe wybory rozpisane zostaną. Z nad Dunaju donoszą, że w Bułgarii wrzenie jest ogólne, że nowe bandy tworzą się na granicy, obfitując w broń i ludzi. Cała Turcya europejska, od Adryatyku i Grecji do Dunaju i morza Czarnego, wzburzoną jest i dąży do oderwania się od Portomańskiej.

Depesze z Nowego Yorku donoszą, że w południowej Ameryce dało się się czuć tak straszliwe trzęsienie ziemi, jakiego dotąd dzieje nasze nie pamiętają. W Peru i Equadorze wiele miast uległo zupełnemu spustoszeniu. Straty w ludziach obliczono dotąd na 30,000 osób, które nagłą zginęły śmiercią!! Straty piędźne wynoszą, jak dotąd, trzysta milionów dolarów.

(W. T. B. Ind. Bel. Schl. Ztg. Jour. des Deb. France)

SILNI I SŁABI.

Wzorki w wolnych chwilach wycinane.

(Dalszy ciąg).

Biała i czarna ręka znów się złączyły.

— Moja kochanka, to abstrakcja, rzekł Józef z uśmiechem.

— Szkaradny! nieznośny! zawołała Róża, odpychając rękę.

We drzwiach pokazała się pani radczyni. Oczy miała jeszcze poczerwieniałe od snu, a siewięjący włos trochę w nieładzie; ale kuzynka takiego jak Józef, można było i w neglizju przyjmować. Kiwnęła głową na pozdrowienie i zawołała Różę na jakąś małą naradę względem wieczornego przyjęcia.

Brzydka to była kobieta ta pani radczyni: wywiędła, zgryźliwa, wiecznie chora i wiecznie się krzątająca. A przecież i ona miała swoje promienne epoki, i ona była aniołem miłości dla niejednego zapaleńca, i ona była królową niejednego balu. Kiedy w szesnastej wiosnie życia zjawiała się w stolicy, otoczył ją rój motylów i niejedną w ogniu jej oczu skrzydła osmalił. Ojciec jej, pan Kozubowski, obywatel ziemski, więcej posiadający długów niż majątku, musiał ratować się służbą publiczną. Otrzymał w Warszawie niezły urząd, żył wystawnie, przyjmował liczne towarzystwo, podpierając zawsze swą godność majątkiem opuszczonym z gorliwości dla służby krajowej i z potrzeby wychowania licznych potomstwa, a pragnąc nadewszystko zbyć z karku trzy córki, trzy anioły wdzięku i urody. Na pierwszą, Ludwikę, złapał się prędko pan Krzykański, dyre-

SZKICE Z ŻYCIA WARSZAWSKIEGO.

Układ i rysunek Kostrzewskiego.



W restauracji.

Gość. Garson! ależ zmiluj się, dałeś mi kuropatwę zupełnie nieswieżą!... pfe!...
Garson. „Przepraszam jasnie pana, świętuteńka, dopiero co upieczona, słowo uczciwości!...”

walka o każdy kawałek chleba i z napływającymi wciąż długami. Wprawdzie teść wyrobił awans, ale podwyższona pensja mogła tylko przy wielkiej oszczędności starczyć na stopniowe spłacanie długów, a tu wymogi towarzyskiego życia, wysokie stosunki, gwałtem ciągnęły do wydatków. Przyszedł i drugi awans, ale przyszedł i dzieci tymczasem; teść umarł, zmalały widoki, a długi wcale nie malały. Powoli, rok po roku, szło tak życie po grudzie. Pan Machowski stetryczał, zdziwaczał; piękna niegdyś Róża zwiędła w tych kłopotach. Wprawdzie, po pewnym przeciągu lat, przywykszy do położenia, nauczyła się dłużników wywodzić w pole arcygenialnymi środkami, umiała się wieczorem wesoło bawić, nie wiedząc z kądem nazajutrz weźmie złotówkę na cukier i czy straganiarka da bułek na kredyt; ale z delikatnej, czulej, łagodnej choć bezmyślniej młodej kobiety, zrobiła się chciwa jędra, widząca w pieniądzu szczyt szczęścia na ziemi i niewybrębna w środkach do ich osiągnięcia. Ileż to razy opłakiwała wybór jaki uczyniła, wychodząc za mąż za Machowskiego! Mogła była karierę zrobić: wszak starał się o nią pan Ludwik Rozsiewalski, obywatel, i byłby pewno wystąpił ze stanowczym oświadczeniem, gdyby się nieszczęściem nie pośpieszyła. A i pan naczelnik

ktor wydziału. Mąż ten wprawdzie postawił jej siostrę, pannę Natalię, na pierwszym planie, ale jej powodzeniu na drodze do hymenu przeszkodził przez to, że wykrył zawód, jakiego doznał pierwszy zięć pana Kozubowskiego. Jawnie już teraz było, że panny nie za życia rodziców nie dostaną, a po ich najdłuższym życiu bardzo niewiele. To też w kilka lat zaledwie udało się pannie Natalii wyjść już nie za dyrektora wydziału, lecz za starszego referenta. Została na placu najmłodsza, Róża, matka obecnie kwitnącej Róży; ale nieboga, mimo czaru młodości, sześć karnawałów zrzędu tańczyła do upadłego, nim na początku siódmego udało jej się wytańczyć sobie ubożego kancelistę naówczas, a obecnie pana radcę Machowskiego. Lichy to był zięć; wahano się też długo z przyjęciem; ale pannie Róży szły łatka, wieś już dawno dostała się w inne ręce, a długów w Warszawie było tyle, że nawet znaczny urząd pana Kozubowskiego, który awansował przez ten czas, nie mógł nastarczyć naciskającym zewsząd potrzebom.

Pan Machowski, ówczesny kancelista, drżał na myśl szczęścia, jakie go spotyka z rączką panny Róży. Ożenek swój uważał jako szacowny rezultat długiej i wytrawnej polityki, jako zwycięstwo odniesione nad losem i licznymi zawistnikami. Wyszastał się na garderobę, którą mu błyszczyć wypadało w salonach pana Kozubowskiego, na fety i liczne choć drobne prezenty; wreszcie zadłużył się po uszy na jakie takie urządzenie mieszkania. Wesele było huczne, bo państwo teściowie nie żalowali na wystawność; wyprawa zato ani umywała się do wyprawy dwóch starszych córek. O posagu już i mowy nie było. Kiedy nazajutrz, po przenosinach, młoda para przystąpiła do własnego gospodarstwa, pokazało się w kasie mężowskiej całego zasobu 3 zł. gr. 15, wyraźnie trzy złote groszy piętnaście, a do dnia odbioru pensji było jeszcze daleko. Pan Machowski złożył ten swój kapitał obrotowy w ręce małżonki i poszedł do biura.

Od tego czasu zaczęła się dla pani Róży epoka udręczeń bez końca, coś w rodzaju czerpania wody przetakiem, czy podnoszenia głazu wciąż opadającego. Od tego dnia ani na chwilę nie ustała zacięta

Konceptowski tak się do niej przysiadł, tak słodko uśmiechał! Ale cóż, głupia byłem, myślała sobie pani Róża, zlekkałam się łysiny i szpakowatych faworytów. Niby to jedno i drugie nie jest znośniejsze od takiej biedy.

Cóżkolwiekby, męża swego znosiła pani Machowska jako fakt spełniony, jako *malum necessarium*, a jako kobieta dobrze wychowana, z zasadami i w gruncie dobra, szczerze dopomagała małżonkowi do utrzymania honoru domu. Jak tam było za kulisami, ile trudów i dowcipu kosztowały przygotowania, nikomu nic do tego; ale reprezentacja domu

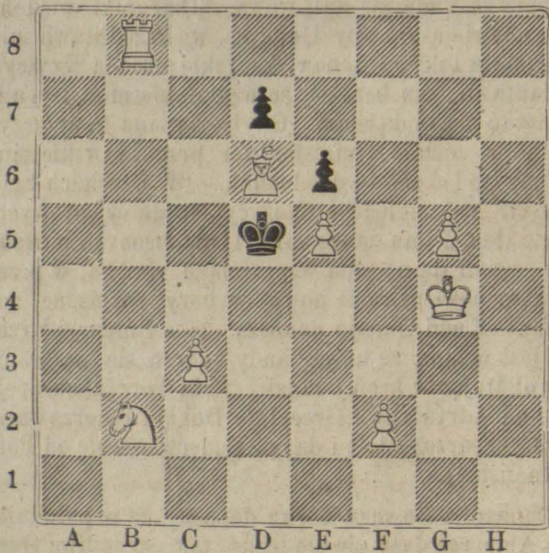
(Ob. dodatek.)

Szachy.

ZADANIE XXX.

Białe zaczynają i dają mata za 4-ém posunięciem

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 29.

Białe.

Czarne.

- 1) C3-B4 1) F6-F8.
- 2) C2-C4+ 2) D5-D4 biorą.
- 3) B1-D1+ 3) E4-D3.
- 4) D1-D3 biorą+ 4) D4-D3 biorą.
- 5) G2-D2+ i mat.

Rebus.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 37.

Często człowiek w życiu odprawia pokutę za życie. (Dodatek.)

zawsze była godna stanowiska męża, a szczególnie zacnego urodzenia pani Machowskiej. Myśl bowiem że była Kozubowska z domu, osładzała jej wszystkie kłopoty i niedostatki, wszystkie upokorzenia i zawiedzione nadzieje. Był to jedyny jej idealizm w ciągłej walce o byt materyalny tego świata. Dzieci przybywały licznie; trzeba było myśleć o daniu im edukacji, i przyznać należy, że pani Machowska z żelazną energią wynajdywała środki ku temu. Powoli zrzekła się wszelkich zabaw, została mamką, piastunką, kucharką, praczką; żyła tylko dla dzieci. Po dziesięć razy na dzień powtarzała chłopczykowi: ucz się, bo nie będziesz miał chleba, ucz się, bo cię oddam do rzemiosła, ucz się, bo zostaniesz szewcem. Słowem była to w gruncie bardzo zacna niewiasta, a że naukę uważała jedynie za rodzaj maszyny do robienia chleba, to nie jej była wina: nie zdarzyło się jej widzieć innego zastosowania mądrości książkowej, ani o niem słyszeć.

Gdy kłopot ze starszymi chłopcami skończył się o tyle, że opuścili dom rodzicielski, a najstarsza córka, Róża, dorastać zaczynała, zwróciła na nią pani Machowska całą swoją pieczołowitość. Panna Róża przyjęła edukację niegorzej od tysiąca innych swoich rówieśnic. Mogła od biedy przeczytać książkę francuską, gdyby jej przyszło na myśl czytać, ale wołała towarzystwo żywych osób; mogła zagrać mazurka na fortepianie, ale wołała tańczyć sama, a granie innym pozostawić; mogła nieźle wypisać się po polsku, ale wołała ustne załatwienie interesów, i to jej się lepiej udawało. Na uwieńczenie gmachu edukacji, nauczyła się od matki, że jedynie na celu mieć winna rychłe i świetne zamążpójście, a sama, własnym przemysłem, nauczyła się zrećnie i tanio naśladować prawie wszystkie nowe stroje, zmieniające się w wystawach sklepowych jak w kaleidoskopie.

Ożywił się znowu salonik pani Machowskiej, z domu Kozubowskiej. Przyjmowała sama w niedzielę, a córkę oprowadzała po wtorkach, czwartkach i sobotach. Inne wieczory poświęcone były teatrowi, koncertom, lub też sposobieniu ryszunku, w jakim piękna Róża miała odnieść tryumf nad nieprzyjacielem, pobić go na głowę. Ale nieprzyjaciół wojował obyczajem starożytnych Partów: najniebezpieczniejszym był w odwrocie. Rok za rokiem upływał bez żadnych rezultatów: Róża była piękna, miła, łagodna, kilku aplikantów zakochało się w niej na zabój, ale nie więcej. Pan Tomasz, kancelista w biurze radcy Machowskiego, wesoły, wygadany, zręczny, usłużny, powoli wkraść się w serduszko córki, a po pewnym czasie zdołał złamać i opozycją rodziców, (podobno z pewnymi tajnymi restrykcjami, dopóki nie zjawi się ktoś lepszy, i z jawną restrykcją uzyskania wyższej posady). Był to więc narzeczony warunkowy. Rodzice, którym trudno było zebrać się na wyprawę, niebardzo przynaglali termin ślubu, a narzeczeni oboje bawili się, i to zdawało się im nateraz zupełnie wystarczającym.

Czy Róża kochała Tomasza? Zdaje się że tak, boć przyrzekła mu rękę dobrowolnie. Młode dziewczę przepadało za zabawą, a pan Tomasz był w pomysłach niewyczerpany. Mimo niezmiernie ograniczonych dochodów, miał talent ubierania się zawsze świeżo, umiał swojej pannie robić tysiączne drobne usługi, umiał wybawiać radczynię z kłopotów finansowych zręcznym manewrowaniem z dłużnikami. Według przysłowia „goły ale wesoły”, nigdy nie tracił dobrego humoru, rozweselał wszystkie zebrania na które uczęszczał z panną Różą, tańczył doskonale, przewodził w każdym mazurze, w grach towarzyskich wymyślał kary za fant coraz nowe a zabawne. Dla Róży tym sposobem stał się nieodzownym: nie umiała się bawić bez niego.

— A, witam pana bednarza, rzekła Machowska, ukończywszy rozmowę z córką.

— Cieszę, kochana wujenka, rzekł Józef, całując ją w rękę.

— To wszystko jedno.

Nie będziemy powtarzać nedorzecznych napaści pani radczyni na stan obrany przez Józefa, ani z pretensją do głębokości powiedzianych uwag pana radcy, który nadszedł nieco później. Radca miał skrytą niechęć do Józefa, jako do człowieka który nigdy w życiu nie chorował i prawdopodobnie mało sobie ważył wszystkie lekarstwa na świecie.

Przyszedł niezadługo i Tomasz i nadał szczęśliwy zwrot rozmowie, która zaczynała już jednych jątrzyć, drugich nudzić. Po kwadransie częściej choć szumnej pogawędki, Józef wziął za kapelusz.

— Poczekajże przecie, odludny kuzynku, zabaw się z nami.

— Muszę jutro wstać wcześniej, moja śliczna kuzyneczko.

Róża wyrwała mu kapelusz z ręki, a Tomasz pociągnął za ramię, żartując z gorliwości ciesielskiej.

— Jutro poniedziałek, blauer Montag, jak to nazywają. Według prawideł powinien być jutro pijany jak bela, przynajmniej do południa.

Niestety! żart był trafny; wiedział Józef, że jutro rano mała tylko gromadka zbierze się do roboty.

Wujostwo przyłączyli swoje prośby, chcąc kuzynkowi dać choć rzadką spobność odświeżenia się między ludźmi dobrego tonu, zasmakowania w dobrych obyczajach i zdrowych pojęciach. Zachodziły tylko pewne drobne kłopoty: jak przedstawiać młodego człowieka? co o nim rozpowiadać ciekawym mamom na kanapie?

Tak to młodzież, swoim lekkomyślnym prowadzeniem, nieraz stawia starszych w trudnym położeniu.

— Powiedźcie, mówił radca na zapytanie które mu żona uczyniła na stronie, że z prowincji przybył, że siedział dotąd na wsi.

— To go będą w rozmowie pytać o wieś i o to co tu w Warszawie porabia, rzekła pani po krótkim namyśle.

— A niech im się tłumaczy.

— Nie, niedobrze, wartoby coś innego wymyśleć.

— Powiedzieć, rzekł Tomasz, że jest technikiem; kobiety niewiele się na tym tytule znają, a mężczyźni nieciekawie. Zresztą jest to podobne zajęcie, tylko wyższe, szlachetniejsze.

— Dziękuję panu; otóż to pan Tomasz zawsze dobrze poradzi. Pamiętajże mężu: technik, technik.

Po załatwieniu tej trudnej sprawy, pozostawał drugi kłopot. Józef był porządnie ubrany, nie wytwornie, ale i bez zaniedbania; jedna tylko rzecz budziła obawę: przyszedł w ciemnych rękawiczkach i pewno nie miał jasnych. Kobiety z Tomaszem znowu zbiły się w gromadkę.

— Dam mu swoje, rzekł Tomasz, mam drugą parę w kieszeni.

— Naprawdę, odpowiedziała Róża, nie wejdą mu i do połowy ręki.

— To prawda; trzeba go jednak zapytać.

Tomasz przysunął się do Józefa, słuchającego rozpraw radcy, i zapytał o białe rękawiczki.

— Nie mam, rzekł Józef.

— A wypadłoby mieć jakiegokolwiek jasne.

— Koniecznie?

— Hm, prawie koniecznie.

— Pójdę kupić.

— I nie wrócisz; znamy się na tém. Zresztą sklepy dziś zamknięte.

Wrócił Tomasz do kobiet. Poszeptawszy trochę i pokręciwszy się, wyszukały białych rękawiczek pana radcy, używanych tylko do wielkiej gali. Rozmiary były odpowiednie. Józef włożył je natychmiast, aby nie popsuć humoru gospodyni.

Wkrótce też zaczęli się schodzić goście. Pan Papirowski z żoną i dwiema córkami Minią i Binią; pan Zamazalski z żoną, córką i dorosłym synem; pani X., pani Y., pani Z., wszystkie z córkami; wreszcie i młodzież, znajomi Tomasza i w części koledzy. Jeden z nich przyprowadził kilku tak zwanych froterów.

Dziwna to trochę ta instytucja froterów, ale niezmiernie pożyteczna. Nie jest to nic napływowego, owszem, urządzenie wyrosłe z potrzeb miejscowych, z bruku warszawskiego. Chcemy się bawić, tańczyć. W tym celu niedość uprzątnąć salonik z niepotrzebnych mebli, przygotować herbatę i przekąski, wynająć fortepian, lub, w razie posiadania takowego, zamówić muzykanta: może zbraknąć niezmiernie ważnej rzeczy, mianowicie tancerzy. Samą znajomą młodzież ściągnąć w dostatecznym komplecie, to czasem trudno, a czasem i niewygodnie: dwóch lub trzech dla zainteresowania panien, to dosyć; inni przyszliby z głowami, mądremi czy nie, ale zawsze z głowami, a tu najwięcej przecież idzie o nogi. Bardzo więc prosty na to środek: obowiązuje się

kilku z zaproszonych znajomych, aby pewną liczbę *nóg* sprowadzili. Jest w Warszawie dużo młodzieży, aplikantów, lub starających się o przyjęcie na aplikację, dependentów, lub zamyślających z czasem zostać dependentami, korepetytorów lub szukających korepetycji. Młodzież ta, spędziwszy dzień w biurze, w knajpie, lub w *dolce far niente* na łóżku we własnym pokoiku, najczęściej nie wie co wieczorem ze sobą robić, gdy brak pieniędzy wszelkim projektom staje na przeszkodzie. Mimo wzorowego ubóstwa, ów proletaryat salonowy mięwa zwykle frak i lakierki, we dwóch lub we trzech do spółki, a przynajmniej każda stancya, z pięciu czy sześciu towarzyszy złożona, ma swój garnitur do uroczystego wystąpienia. Jest to więc *zakład nóg* każdej chwili gotowych do tańca. Od którego z zamożniejszych kolegów, od młodzieńca mającego już etat i stosunki, przychodzi najczęściej w porze karnawałowej, ale niekiedy i w innym czasie, (bo potrzeba tańczenia jest nieustająca), wezwanie na wieczór: tyłu a tyłu potrzeba. I w oka mgnieniu pożyczka jeden socyusz od drugiego, jedna stancya od drugiej: przypinają świeże kołnierzyki i mankiety do brudnych koszul, czernią wąsy, wdziewają fraki, obuwają lakierki i pod dyrekcją swego protektora wkraczają do salonu, nie pytając się nawet o nazwisko i stan amfitryona.

Na hasło dane przez muzykę i przez protektora, froterzy rzucają się do panien, biorą jedną po drugiej i walczą, polkują, tramblują, słowem pełnią swoją powinność. W swoim czasie dostają szklanek herbaty, resztki kolacyi, czasem i po kieliszku wina. Po skończonej zabawie, kłaniają się i odchodzą wraz ze skrzypkiem, zatykającym smyczek za struny.

Zebrało się więc towarzystwo u państwa Machowskich. Nie będziemy wyliczać rodzin zebranych, ani opisywać świetnych ubiorów dam, lub notować prowadzonych konwersacyj; postaramy się tylko podać ogólny obraz tego wieczora.

Pozowanie leży w gruncie natury ludzkiej, tak dalece że nawet człowiek samotny, często się może przydybać na pozowaniu przed sobą samym. Nic słusniejszego nad to, że w towarzystwie każdy i każda chce okazać swoje przymioty, a skryć ujemne strony, że nie tylko ciało, ale i dusza przybięra strój uroczysty. Ta tylko zachodzi tu różnica, że człowiek prawy i rozumny stroi się w to co ma rzeczywiste, a niedzisz moralny i umysłowy w fałszywe dekoracje. Żle zrozumiane warunki życia towarzyskiego skłaniają nas często do porzucania naszych dobrych przymiotów gdzieś w pakamerach ducha, a do strojenia się nazewnątrz w świecidełka pożyczane. Przechodzi to w zwyczaj, w namiętność, tak iż wartość rzeczywista człowieka gnije sobie na dobre w pakamerze. Ale *dobrze wychowany* człowiek obejdzie się i bez niej. Grupuje zrećnie i z gustem swoje dekoracje, obstawia je filigranową erudycją, oświetla gazowem światłem miłości własnej i wystawia na widok publiczny, za bezbarwną i kruchą taflą przekonań i zasad.

I w naszym też towarzystwie wkrótce ten popis rozpoczął się w najlepsze. Tańczono do upadłego. O Józefa mały był kłopot, bo mało kto i pytał się o niego. Uległ on wkrótce wirowi powszechnemu i tańczył na równi z innymi. Myśl jego zatrzymała się jak zegar nienakręcony. Czuł tylko muskanie wstążek po twarzy, oddech tancerek oblęwiający go zarem, kibić gietką, którą ku sobie cisnął. Za te błogie wrażenia płacił też obficie komplementami. Mini powiedział, że chętnieby z nią przetańczył nie tylko całe życie, ale i wieczność całą; Bini, że przepada za czarnymi oczami; Róży, że gotówby niewolnikiem zostać dla niebieskich.

Tomasz rej wodził między młodzieżą; w mazurze wybijał hołubce, które wszyscy podziwiali, ale nie każdy naśladować potrafił. Zabawa przeciągnęła się do drugiej godziny; wystawy swoje wszyscy nawzajem uwielbiali, choć co kto kupił i za jaką cenę, niewiadomo z pewnością. To tylko było faktem, że pan radca przegrał w preferansa ostatnie swoje dwa ruble.

IX.

W kilka dni po piérwszej wizycie, Zygmunt zjawił się znowu w domu swojej ciotki. Nie mógł sobie wprawdzie jasno zdać sprawy z celu tej wycieczki (miał zwyczaj wyrozumowane tylko stawiać kroki),

ale w końcu powiedział sobie: zrobię rekonesans, żeby wiedzieć czego się trzymać, a przedmiot wart rekognoskowania: będzie to małe studium psychologiczne.

W tym więc celu, czysto naukowym, a nawet po- niekąd filantropijnym, przysiadł się Zygmunt do panny Ewy i rozpoczął studium.

Z wytworną delikatnością dżentlemana i serdeczną sympatją jaka wyższe umysły wiąże między sobą, wypytał się o jej przysze widoki. Wprowadziwszy rzecz na projekt Ewy złożenia egzaminu, zbadał jej stopień nabytych umiejętności, czemu się Ewa ochotnie poddała, udzielił jej mnóstwo rad rzeczywiście praktycznych, a spotykając w każdym szczególe gruntowne wykształcenie i umysł wysoko rozwinięty, miał sposobność wypowiedzenia licznych i miłych, bo szczerych, komplementów. Ze sfer naukowych rozmowa przeszła łatwo do uczuciowych. Zygmunt uwielbiał poświęcenie i energią Ewy, która te pochwały w żart obracała, przez co rozmowa przybierała charakter poufały, zobojetniając rolę protektorską Zygmunta. Hrabina kwaśno spoglądała na tę zażyłość swego kuzynka z panną, ale tymczasem znosiła ja cierpliwie. Wyższość umysłowa Ewy zaczęła jej ciążyć, czuła niewłaściwość swego względem niej stosunku i już w myśli rachowała czas w którym będzie ją mogła oddalić, mianowicie po odsłużeniu zaforsusowanych pieniędzy. Ewa zaś wiele miała wartości na meblek salonowy i sprzęt kuchenny, zarozumna była na plotkarskie rozmowy i pieszczony piesków. Hrabina poprzysięgła sobie w duszy, że na następczynię Ewy weźmie porządnie głupią dziewczynę.

Kilka godzin zbiegło młodym ludziom nadzwyczaj szybko i przyjemnie. Zygmunt wyszedł oczarowany. Przez całą drogę rozważał w pamięci słowa Ewy, jej zdrowy rozsądek, naturalność, wdzięk, uczucie, jej czysty profil twarzy, piękną budowę głowy, pełne wyrazu oczy, słodki dźwięk głosu i tysiączne inne rzeczy.

Tyle znałem kobiet, a żadna ani na chwilę porównać się z nią nie może, mówił sam do siebie. Prezesówna, artystka rzeczywiście wykształcona, ale nieznośna ze swemi emancypanami manierami i tonem stanowczym. Hrabianka Wanda piękna w swoim rodzaju, ale to lalka bez rozumu i serca; nawetby się gustownie ubrać nie potrafiła bez zręcznej garderobiany. Panny ** gąsieciki skromne, pod opieką mamy. Sędzianka Walerya papuga, gadająca wszystkimi językami, a bez sensu. Ale co tu wyszukiwać; dotąd myślałem że liczne mam stosunki, a pokazuje się że nie znam ani jednej panny, któraby pod jakimkolwiek względem interes we mnie obudzała.

Tu przyszło zastanowienie do głowy pana Zygmunta. „Na cóż mi się zda stosunek z Ewą? na to tylko, żebym miał wyobrażenie o kobiecie prawdziwie pięknej, dobrej i ukształconej. Ale czy obraz Ewy nie stanie mi na przeszkodzie w wyszukiwaniu żony? Ha, tém gorzej dla panien, — ale i dla mnie, dodał po chwili. Przecież świat duży, znajdę jaką co będzie mogła rywalizować z Ewą. A ona? co z nią zrobię? Na romans za twarde orzech, na żonę niepodobna. Szkoda że nie ma pieniędzy; mógłbym się wszędzie pochłubić taką żoną — odegrałaby rolę na wielkim świecie.“

(Dalszy ciąg nastąpi).

NIESMIAŁY.

Komedia w jednym akcie.

Według Edwarda Paillerona: *Mur mitoyen*,

ulożył wiérszem

Kaźmirz Kaszewski.

Scena 3.

LUBICZ, ZDZISŁAW.

LUBICZ, oglądając się.

Cóż to, niema nikogo? Gnięwa mnie to srodze. Umyslniem przyszedł późnziej. No, proszę!... Zdzi- [sławie!]

ZDZISŁAW.

Jestem tu...

LUBICZ.

Czy wiesz, poco z tobą tu przychodzę?

ZDZISŁAW.

Nie wiem.

LUBICZ.

A więc ci zaraz wolę mą objawię.

Nadstaw uszy i słuchaj, w każdym razie bowiem Musisz się przygotować na to co ja powiem; A gdy mówię, to uznaj w tém mą chęć łaskawą, Bo ja ci i nakazać mam bezwzględne prawo.

ZDZISŁAW.

Tak jest.

LUBICZ.

Dobrze! Ja cieszę się i nie bez racyi, Z owoców jakie wydał tryb twój edukacyi. Jesteś uległy ojcu, skromny, bojaźliwy, Gdy inni w twoim wieku wyprawiają dziwy. Ja też postępowanie twoje umiem cenić, I na dowód, w nagrodę chciałbym cię ożenić.

ZDZISŁAW.

O!

LUBICZ.

I sądzę że będzie dobrana z was para. Ta którą ci przeznaczam, jest to panna Klara.

ZDZISŁAW.

O!

LUBICZ.

Cóż dziwnie przyjmujesz moje rozkazanie: Masz minę, jakby na cię spadło ciężkie brzemię. Miałżebyś projekt umrzeć w kawalerskim stanie?

ZDZISŁAW.

O!... nie.

LUBICZ.

Cóż się czerwienisz więc i patrzysz w ziemię? Wszak Klara, jest to młoda i piękna osoba?

ZDZISŁAW.

O, tak!

LUBICZ.

Jej ród mieszczański ci się nie podoba?

ZDZISŁAW.

O, nie!

LUBICZ, deklamując.

Słusznie, mój synu! Bo ten kto stanowi Różnicę w ludziach, grzeszy przeciw rozumowi. Mieszczenie!... cóż mieszczenie?... Oni to jedyni Mają coś, co ich do nas podobnymi czyni. Przez to... przez te... przez takie... nie wiem czém

[się dzieje,

Ale grubo ten błądzi, kto się z tego śmieje. Ich praca, zabiegliwość, ich domowe cnoty... W związku z nimi ja, słowem, nie widzę sromoty.

ZDZISŁAW.

Tak.

LUBICZ, mocniej.

Boć ludzie są ludźmi wszędzie, w każdym [stanie.

ZDZISŁAW.

Tak.

LUBICZ jeszcze mocniej.

Ludźmi przedewszystkiem są zacni mieszczenie!

ZDZISŁAW.

Prawda!

LUBICZ, poważnie.

Ja idę z wiekiem, choć-em niby stary. Prawda, żem względem ciebie miał inne zamiary: Krzyccy mi swoją wnuczkę ofiarować chcieli, Lecz odmówiłem blasków świetnej parenteli, Bo posag... nie... ten proces... obawa grabieży... Krótko mówiąc, do ciebie ta rzecz nie należy. A wreszcie dałem słowo. Słyszysz? dałem słowo!

ZDZISŁAW.

Słyszę.

LUBICZ.

Więc żadne odtąd zajść nie mogą zmiany, Rozumiész?

ZDZISŁAW.

Tak!

LUBICZ, na stronie, z zadowoleniem.

A co, czy nie wytresowany?

(głośno)

Ale!... Jako opiekun, z części macierzystej Mam ci złożyć rachunek... Jest on bardzo czysty; Załatwim tę rzecz sami: nie widzę korzyści, By tam nos swój wścibiali panowie juryści. Wprawdzie liczyć i nurzać myśl w cyfer topieli,

Jest raczej rzeczą kupców, niż obywateli; To też wyznam, że jasno nie widzę w tej sprawie, Czy ja ci co winienem, czy ty mnie, Zdzisławie, I nie chcę wiedzieć; a ty?

ZDZISŁAW, z pomieszaniem.

O!

LUBICZ.

W prawa dziedzica

Wchodzisz od dziś.

ZDZISŁAW, z powątpiewaniem.

O!

LUBICZ, wyciągając rękę.

Teraz uściskaj rodzica.

(Zdzisław biegnie ku niemu. Lubicz zatrzymuje go gestem). Zwolna! zwolna! Cóż znowu za skoki szalone? Te wybuchy uczucia w inną obróć stronę. Te panie zaraz przyjdą; bądź grzeczny a czuły.

ZDZISŁAW, (na stronie).

O, strach mi!

LUBICZ, spoglądając na zegarek, na stronie.

Swoją drogą humor mi zatrąły.

(do syna)

Porzuc tę minę gapia, nie bądź takim zmorą! Kto chce podbić serduszko, powinien być śmiały, (sięga znów do zegarka) A z tém wszystkiem oględny. A, niech diabli biorą! To się na umówioną godzinę wybrały! Pewnie przez taką zwłokę ubliżyć mi chciano... Niedoczekanie!... Otóż mnie tu nie zastaną. Pójdźmy Zdzisławie!

ZDZISŁAW, idąc za nim.

Idę.

(Wychodzą w głębi na prawo. W tej chwili Krętosz i Gmatwacz ukazują się za altaną i wychodzą na scenę).

Scena 4.

KRĘTOSZ, GMATWACZ.

KRĘTOSZ.

Jakże podobała

Ci się ta mała próbka? Dwójka doskonała, Zgadzą się, nieprawdaż? Ej, jeszcze do ucha Dmuchnijmy im, a płomień znowu się rozbucha. Mamy ich w rękę, tylko słuchaj mojej rady, I to co czynić będę, ty czyni słowo w słowo, A ręczę, że rozsypią się w proch te układy. Sprawa dzisiaj ma stanąć przed kratką sądową: Przegraniem ja efekt tak smacznie przypieprzę, Że się skręci i zwada rozgore w najlepsze. Pójdźmy do nich.

GMATWACZ, spogląda w głąb na prawo.

Nie trzeba, bo właśnie nadchodzą.

KRĘTOSZ.

To chyba się spotkali.

(z powątpiewaniem)

Oj, zgodzą się, zgodzą!

Scena 5.

Ciż, LUBICZ, za nim ZDZISŁAW, TURKALSKA, a za nią KLARA.

LUBICZ, z przesadną grzecznością.

Nie stawilem się na czas, lecz ważna przyczyna...

TURKALSKA, podobnie.

Nie, ja to się spóźniłam...

LUBICZ.

Nie, to moja wina...

TURKALSKA, z przybraną miną.

Panie, piękny to dla nas dzień i pożądany, W którym miłość ma zatrzeć nienawiści rany. Nie przeczę, że choć nieraz w pięknych słów potoku Silnie skłaniał mnie Gmatwacz do zgodnego kroku, (Gmatwacz daje znaki zdziwienia)

Jednakże jabym dalej szła do celu żwawo,

Czując po swojej stronie i słusność i prawo.

Lecz obowiązek matki widoki me zmienia;

Wiedząc, że się syn pański o mą córkę stara (Zdzisław daje znaki przyjemnego zdziwienia).

I że jego uczuciu odpowiada Klara,

(Klara zaprzecza znakami).

Pragnę urzeczywistnić wspólne ich życzenia.

Tak tedy, panie, szczęście méj córki jedynéj,

Przyjemność należenia do waszój rodziny,

Błogi spokój o którym każdy sąsiad marzy, (Lubicz daje oznaki mocnego zniecierpliwienia).

I którego świadectwo miłe na twój twarzy

Pierwszy raz dziś spostrzegam; oto są powody

Ustępstw mych na rzecz pańską i chlubnej dlań zgody.

(Kłania się).

LUBICZ (na stronie).

Zapłacę ja ci, mieszczko!

TURKALSKA, z udanym zajęciem.

Co to panu?

LUBICZ, z tłumionym gniewem.

Dzięki

Bogu, nic!

TURKALSKA.

Bo widziałam jakieś drżenie ręki...
(Uśmiecha się na stronie z zadowoleniem).

LUBICZ, występuje z kolei z miną przybraną.

Pięknym jest ten, zaprawdę, dzień, który po burzy
Długiej i nieprzerwaną pogodę nam wróży.
Byłem całkiem spokojny o los mojej sprawy,
Którą żywo do serca brał każdy mąż prawy;
Szedłem do celu z wolna, ale niezachwiany,
Z siłą jaką nadaje nam pewność wygranej;
Aż cny Krętosz, wróg wszelkich zatargów i zwady,
Proponował mi z panią sąsiedzkie układy.
(Krętosz daje oznaki zdziwienia).Lecz nietylko wzruszyły mnie Krętosza plany,
Ile stan mego syna wielce opłakany.
Chłopiec mi się rozkochał...

ZDZISŁAW, tracąc kontenans, na stronie.

O, tak!

LUBICZ.

Trudna rada!

Kiedy syn mój z miłości szaleje, przepada,
Temu zawdzięczasz pani i zaszczyt i radość,
Że mojej słusznej dumie nie stało się zadość,
Że gotówem podpisać akt, na którym, śmiecie
Rzec mogę, pani tylko zyskujesz tak wiele.
(kłania się)

(na stronie)

Masz, zgryź!

TURKALSKA, z gniewem, na stronie.

Zapłacisz ty mi panku!

LUBICZ, z udanym zajęciem.

Co to pani?

TURKALSKA, nie odpowiadając.

Czy nasi powiernicy są tu przywołani?

GMATWACZ, zbliżając się do Turkalskiej.

Jestem, do usług pani.

KRĘTOSZ, zbliżając się do Lubicza.

Jestem i ja, panie.

TURKALSKA.

Więc jeżeli nasz zamiar nie ulega zmianie,
To...

(idzie do stolika po pióro).

LUBICZ.

Zgoda. Ale może wprzód pani rozkaże,
Aby m syna przedstawił pięknej pannie Klarze?
(odsłaniając Zdzisława, który stoi za nim).

Zdzisław Lubicz!

TURKALSKA, cicho do córki.

Trzymaj się, Klaro, należycie.

LUBICZ, cicho do syna.

Postąp dwa kroki naprzód, skłoń się przyzwicie.

ZDZISŁAW, na stronie.

O, drzę cały!...

LUBICZ, zcicha, do Zdzisława.

No, dalej!

ZDZISŁAW, w największym pomieszeniu.

Pani, panno Klaro,

Za...pe...wne... gdy...by...

LUBICZ, cicho, przerywając mu.

Dość już, niemrawa, poczwaro!
(głośno)On trochę bojaźliwy, nie otarł się w świecie,
W szkołach nad naukami bardzo długo siedział;
Ale na to dość czasu.

TURKALSKA, cicho do córki.

Odpowiedz mu przecie.

KLARA, cicho do matki.

A na co, dotąd jeszcze nic mi nie powiedział.

TURKALSKA, cicho.

Mniejsza...

ZDZISŁAW (na stronie).

Ja drzę! A ona drwi z mojej niedoli.

KLARA, do Zdzisława.

Panie Zdzisławie, wdzięczna panu jestem za to,

Cobyś mi był miłego rzekł, gdyby ci tato
Nie przerwał...

TURKALSKA, cicho z gniewem do Klary.

Przestań! przestań!

(do Lubicza)

Może pan pozwoli,

Aby nim my rozprawim się o interesie,
Dzieci nasze tymczasem przeszły się po lesie?

LUBICZ.

I owszem.

KLARA, do matki, cicho.

Ależ mam!

TURKALSKA, podobnie.

Cicho bądź!

LUBICZ, do syna.

Zdzisławie!

ZDZISŁAW, podbiegając.

Słucham.

LUBICZ, popychając go.

Podajże rękę.

ZDZISŁAW, zbliżając się bojaźliwie.

Służę.

TURKALSKA, do córki, wskazując drogę.

Po murawie.

KLARA, z przymusem.

Dobrze.

TURKALSKA, do Lubicza, wskazując na córkę.

To jeszcze dziecko, a chowane skromnie.

LUBICZ, do Turkalskiej.

On jeszcze roztargniony, lecz myśl w nim się skupi.

ZDZISŁAW, patrząc ukradkiem na Klarę.

Ah, jakaż ona piękna!

KLARA, podobnie.

Ah, jakiż on głupi!

Ręczę, że ani słowa nie przemówi do mnie.

ZDZISŁAW (na stronie).

Chciałbym jój coś powiedzieć, a w słowach się gubię;
Nogi mam jak z bawełny, język jakby w śrubie.

LUBICZ, do syna, który się ociąga.

Zdzisławie!

TURKALSKA, podobnie.

Klaro!

(Zdzisław i Klara odchodzą pod rękę, nie patrząc na siebie
i prawie odwrócieni)

LUBICZ, patrząc za nimi

Radość z oczu ich promieni.

TURKALSKA, podobnie.

Szczęśliwe dzieci!

LUBICZ.

Istnie dla siebie stworzeni!

Scena 6.

LUBICZ, TURKALSKA, KRĘTOSZ, GMATWACZ.

(Podczas gdy Lubicz odchodzi nieco ze sceny, idąc za Klarą
i Zdzisławem, Gmatwacz zbliża się do Turkalskiej i mówi do
niej zcicha).

GMATWACZ, do Turkalskiej w dalszym ciągu.

A więc nie kwap się pani jeszcze z podpisaniem;
Dzisiaj sędzi się sprawa, więc przed kratki staniam.
Pójdzie źle, podpiszemy, a gdy pójdzie gładko...
Córka nie chce... więc pocóż różnić córkę z matką?

TURKALSKA, do Gmatwacza, z zadowoleniem.

Naturalnie; gdy przegra ten mój utrapieniec,
Zamiast muru i córki, dam grochowy wieniec.

GMATWACZ.

Jadę do miasta; dam znać tu przez umyślnego!
Lecz cicho... tajemnica przed moim kolegą!(Przez ten czas Lubicz wrócił i rozmawiał cicho na boku z Krę-
toszem. Turkalska i Gmatwacz rozmawiają dalej pocichu).

KRĘTOSZ, na boku, do Lubicza.

To w pańskim interesie... Jeżeli przegrana...
Dziś sędzą.. to nie będę już wstrzymywał pana.
Lecz jeżeli, jak mniemam, dobrze pójdzie sprawa...

LUBICZ.

Głupi byłbym marnować i mur i Zdzisława,
Oczywiście.

KRĘTOSZ.

Wiadomość dam w dobrą godzinę;
Tymczasem...

LUBICZ.

Wynajdziemy naprędce przyczynę.

TURKALSKA, skończywszy rozmowę z Gmatwaczem, do siebie.
Jednak ten Gmatwacz sprytem swoim mnie zachwyca.

LUBICZ, do siebie.

Ten Krętosz, to najpiękniejsza w kraju mózgowica.

TURKALSKA, do Lubicza.

Panie...

LUBICZ.

Pani...

TURKALSKA.

Czy akt nasz już gotów?

KRĘTOSZ, ukazując papier.

Umowa

Sformowana.

LUBICZ.

Jam gotów.

TURKALSKA.

Jam także gotowa.

LUBICZ.

Więc podpiszem...

TURKALSKA.

I owszem...

(oboje odchodzą od stołu).

LUBICZ.

Chociaż... nic nagłego...

TURKALSKA.

Zapewne...

GMATWACZ.

Może jeszcze przejrzym go z kolegą.

LUBICZ.

Chyba co do form prawnych...

TURKALSKA.

Zgodnie...

LUBICZ.

W dobrą
[wierze...]

Więc za chwilę...

TURKALSKA.

LUBICZ.

Za chwilę.

KRĘTOSZ, zabiérając się do wyjścia
i podnosząc rękę ku Lubiczowi i Turkalskiej, na stronie.

Szalbierze!

GMATWACZ, podobnie.

Szalbierze!

(odchodzą razem różnymi stronami).

LUBICZ.

Lecz niech pani nie sądzi by niedowierzanie...

TURKALSKA.

Cóż znowu!...

LUBICZ.

Więc za godzin dwie...

TURKALSKA.

Zejdziem się panie...

(kłaniają się do wyjścia).

LUBICZ, odchodząc, na stronie

Mieszczka, widzę, niewinna. Uszyjęż jój buty!

TURKALSKA, podobnie.

Ej, nie takie to straszne te wiejskie folbluty.

(Odchodzą w różne strony, a jednocześnie wchodzą z głębi
Zdzisław i Klara).

(Dalszy ciąg nastąpi).

Przegląd pismieniczny.

(Dokończenie.)

Brozura o której z kolei mówić będziemy, nie za-
leca się głębokimi wywodami naukowymi; niema tam
śmiałych pomysłów, oryginalnością swoją z cieka-
wiających ludzi uczonego świata — ale jest to mi-
łuchna książeczka, pisana pod technieniem szczeréj mi-
łości bliźniego, ucząca jak zarobkować bez krzywdy ni-
czyjéj, a z korzyścią wszystkich, wskazująca jak przy

umiejętności i pracy, pomimo małych zasobów, dojść można do pewnego kawałka chleba i dostatku. Książeczka ta nosi tytuł: *Cudowna potęga rydla i pluga, plużycy i sochy, skierowana do pręta, morgi i włóki ziemi*, — a autorem jej jest p. Wojciech Jastrzębowski, znany wszystkim profesor i miłośnik ludu i przyrody. Autor uczy jakie rolnicy mogą ciągnąć korzyści przez obsadzanie kawałków ziemi drzewami owocowymi. Nasamprzód na przecie ziemi dobrze uregulowanej i nawiezioniej sieją się nasienia drzew owocowych albo leśnych i drzewek takich pręt może wydać trzydzieści tysięcy sztuk, które po upływie lat dwóch przesadzać można na obszerniejsze miejsce i które, podług autora, warte są 30,000 groszy, czyli po groszu za sztukę. Następnie płonki te przesadzają się w ilości 13,500 na morderze gruntu, i takowa warta już wówczas 27,000 złotych polskich, licząc po 2 złote za drzewko. W końcu drzewek tych wysadza się na całej włóce gruntu 9,000 sztuk, które po upływie pewnego czasu, ze względem na ich rodzajność lub pożytek, dojść mogą do wartości 30,000 dukatów. Niejednemu cyfry te wydadzą się przesadzone, a gorące słowa i zachęta autora mrzonkami. Na to odpowiadamy: być to może; ale z drugiej strony jesteśmy tego przekonania, że korzyści z hodowli drzewek wypływające są bardzo znakomite, tak dla hodujących, jak i dla ogółu. Gdyby właściciele małych i niemałych posiadłości rolnych umieli i chcieli skrzętniej chodzić koło hodowli drzew owocowych, nie byłibyśmy zmuszeni przepłacać owoców, a nawet bardzo często posiłkować się owocami zagranicznymi, wywożąc coraz to ciężiej przychodzący nam grosz na obczyźnie. Praca pana Jastrzębowskiego, chociaż w niektórych szczegółach rachunkowych może być trochę przesadzoną i zwyczajną temu autorowi przymieszką ekstazy jest zaprawioną, zasługuje jednak na upowszechnienie, przeczytanie i zastosowanie jaknajobszerniejsze. Autor drukował ją w całości w *Zorzy*; znać zwątpił o czytelnikach zwanych ukształconymi, (którzy jednak, pomimo swego rozumu, dla sadownictwa i leśnictwa krajowego więcej szkody niżeli zysku przynoszą), a zwrócił się do prostaczków, przemawia do nich jak kapłan, zachęca jak ojciec i z serca płynącym słowem chce ich porwać za sobą, przywieść do poznania prawdy i użyteczności, zniewolić do umiłowania pracy, aby przez nich wyrównać szczyby, jakie pomyślność ogólna przez lekceważenie innych poniosła. Szczęść Boże chęciom zacnego autora!

Ostatnią z oryginalnych prac jakie mamy przed sobą jest: *Myśl usunięcia przyczyn wygórowanej ceny artykułów żywności*, przez Kaźmirza Karpowicza. Przyznajemy że gorszym językiem napisanej broszury bardzo dawno już nie czytaliśmy; wprost czytasz: widzisz wyrazy, przecinki, średniki, kropki i t. d., a w końcu bardzo często całego okresu zrozumieć nie możesz. Nadto autor „Myśli” ma więcej niżeli słabe pojęcie o warunkach handlu w ogóle, a o warunkach handlu zbożowego w szczególności, kiedy radzi — zgadnijcie co? oto nic więcej jak *ustanowienie taksy*, wedle której nietylko że piekarze, rzeźnicy, piwowarzy i inni mają sprzedawać swe wyroby, ale wedle której nawet rolnicy sprzedawać mają zboże, siano i inne ziemiopłody. Doprawdy, na *myśl* podobną, w drugiej połowie dziewiętnastego stulecia, chyba że rzadko kto wpadnie.

Jest jednakże w tej ledwie czytać się dającej broszurce jedna myśl trafniejsza. Rzecz idzie o mięso. Wiadomo że są spekulanci handlujący wołami, którzy udzielaniem znacznych pożyczek rzeźnikom, zmuszają tych ostatnich do kupowania od siebie wołów, po cenach dowolnie naznaczonych. Otóż p. K. radzi, aby rzeźnicy wyjednali sobie pewien forszus rządowy, wybrali agenta i tego wysyłali na prowincję, dla zakupna wołów wprost od rolników, którzy zobowiązaliby się na termin oznaczony nadsyłać zakupione woły do Warszawy. Tym sposobem handlujący byłby stepowem, będą zmuszeni ceny obniżyć. Jest tu trochę słuszności; ale zdaje się że rzeźnicy niewieleby tu wpłynęli na obniżenie ceny, gdyż jako jednostronnie interesowani, trzymaliby towar w takiej cenie, jak gdyby pochodził z wołów stepowych, a zresztą przy odbiorze wołów byłoby sporów bez liku, gdyż każdy chciałby mieć lepszego i t. d. Prę-

dzędz daleko mogłoby to zastosować pewne stowarzyszenie prywatne, pewna spółka spożywcza, oddziałyująca na innych drogą konkurencji. W każdym razie myśl to, podług nas, niezła i warta głębszego zastanowienia.

Z pomiędzy publikacji z obcych języków tłumaczonych, zasługuje na uwagę wydawnictwo broszurowe p. n. *Wiedza*, wychodzące nakładem redakcji Przeglądu Tygodniowego. Zadaniem tego dzieła poszytowego jest obznajmianie publiczności z najnowszymi postęпами wiedzy ludzkiej sposobem popularnym. A ponieważ prelekcje publiczne najwięcej powinny być zbliżone do popularności, wzięto więc do przekładu niektóre z odczytów mianych w języku niemieckim za granicą. *Wiedza* ma składać się z dwunastu zeszytów, a dotąd wyszły cztery, przeważnie gałęz nauki społecznych objaśniające. Na wybór skarżyć się nie można. Nauki społeczne obchodzą żywo wszystkich, o wiele więcej niżeli najciekawsze i najważniejsze postępy w naukach ścisłych; mówią o oświacie, o stowarzyszeniach, o solidarności, o bezpieczeństwie wszystkich i każdego, o swobodzie, o wynagradzaniu pracy, o mieszkaniach i o wielu innych kwestiach, zawsze silnie związanych z człowiekiem i silnie na jego życie, na jego dzieje, na jego utrzymanie wpływających. Nic więc dziwnego, że każdy rad poznać środki zabezpieczające mu pomyślność i nauczyć się sposobów wytepiających zło społeczne. Co boli, o tym się i myśli. Dlatego też, powtarzamy, *Wiedza* dobrze zrobiła, przedstawiając nam niedogodności trapiące społeczeństwo i wskazując środki z większym lub mniejszym powodzeniem gdzieindziej przeciw nim użyte. Wszystkie cztery zeszyty jakie mamy przed sobą, traktują o tym właśnie. *Obowiązki i prawa społeczne* (autor Schultze z Delitzsch) uczą jak działać, aby zło wynikające z zależności od potęg natury i instytucji towarzyskich usunąć, i jak postępować, aby swobodna działalność człowieka nie przechodziła w nadużycie i nie naruszała bezpieczeństwa powszechnego. *Znaczenie i postępy tegoczesnego prawa narodów* (autor J. C. Bluntschli) wykazuje postępy jakich praw międzynarodowe dokonało i co jeszcze ma do zrobienia, tak w środkach przeciwko niewolnictwu, w zabezpieczeniu wolności religijnej, poselstw, praw cudzoziemców, jak i w prawach i przepisach dotyczących wolności żeglugi na wspólnych wodach i neutralności państw w razie wojny. Najciekawszym i najrozleglejszym jest ustęp o prawie wojennym, wskazujący ile usiłowańłożono, aby w tej największej, lubo czasami koniecznej i zbawienniej pladze społeczeństwa, umiano poszanować ludzi prywatnych, ich majątek, ich uczucia i t. d., a zredukowano okropność wojny do minimum strat. W starożytności, pisze autor, nawet bezbronne osoby, kobiety i dzieci były w ciągłym niebezpieczeństwie złego traktowania przez nieprzyjacielskich wojowników, zabrania do niewoli, sprzedania lub śmierci. Dzisiejsze prawo narodów odrzuca zupełnie myśl bezwzględnej samowoli nad osobami prywatnymi i nie upoważnia bynajmniej nietylko do zabijania, ale nawet do złego traktowania i obrażania takowych. Prawo osobistego bezpieczeństwa, honor, wolność, są prawem cywilnym, a to pozostaje w wojnie nienaruszalnym. Tyle co do osób prywatnych — ale i dla walczących prawo międzynarodowe wynajduje osłonę. Wolno zabijać, ścigać, brać do niewoli, ale nie wolno zabijać nieprzyjaciela gdy broń składa i poddaje się, lub dobijać rannych, tak samo jak napastować lekarzy, duchownych i innych nie walczących, gdyż to nie jest koniecznym do odniesienia zwycięstwa, a przechodzi w proste morderstwo. Toż samo niewolno zabijać lub więzić tytułem kary żołnierzy wziętych do niewoli, lub do ostatniej kropli krwi broniących swego posterunku, bastionu czy twierdzy. Waleczność nieprzyjaciela nie jest nigdy karygodnym przestępstwem. Niemniej ciekawe są prawa międzynarodowe, dotyczące się majątku nieprzyjaciela w wojnie morskiej i lądowej, których tutaj, dla nieprzedłużania artykułu naszego, przytaczać nie będziemy. *Cena pracy* (autor E. Engel) wykazuje, że cena ta winna wynagradzać nietylko działalność fizyczną przez ciało i intelektualną przez rozum, ale i działalność moralną przez serce, przez owo serce, które dziś bardzo mało bywa uwzględniane i wynagradzane jedy-

nie obietnicą zagrobowej szczęśliwości. Następnie, na mocy rachunku prawdopodobieństwa, autor wykazuje, jakie są koszty wychowania ludzi, utrzymywania ich i zabezpieczenia; jakie powinno być wynagrodzenie aby te koszty pokryło, a mianowicie koszt na wychowanie w młodości do lat 16 życia, koszt na utrzymanie życia i siły roboczej podczas peryodu w którym człowiek zdolny jest do pracy, to jest do 65 roku i w końcu koszt na utrzymanie życia w starości. Powstaje także autor na wczesne używanie dzieci do pracy, co szczególnie dzieje się u nas po rzemiosłach i co sprowadza wyniszczenie ciała, zabicie umysłu i upadek społeczności pod względem fizycznym i umysłowym a nawet moralnym, gdyż, jak pisze Engel: „U dzieci w najwcześniejszych latach oddanych pracy fizycznej, objawia się nienaturalna, przedwczesna dojrzałość, która skutkiem znacznie rozwolnionych węzłów familijnych i prawie zupełnego braku wszelkich wspomnień rodzinnych, smutne na nich piętno wyciska.“ Ostatnia broszura p. n. *Kwestya mieszkań* (autor Lette) zajmuje się sprawą ważną, szczególnie dla ludności ubogiej, która, tak jak wszyscy inni, chciałaby mieć swój własny kącik, swoje zacisze domowe, gdzieby odetchnąć mogła swobodnie po pracy, w gronie swęj rodziny. Główne potrzeby takich mieszkań są dwie: świeże i zdrowe powietrze i pomieszczenie samo w sobie, to jest oddzielne. Kto zna Warszawę i inne większe miasta, ten przyzna że ogromna większość pracujących nie ma takich mieszkań, pomijając już ich drożyznę. Autor broszury przebiega główne urządzenia mieszkań pracującej ludności w Anglii, w Mulhouse w Alzacji, gdzie w tak zwanych dzielnicach roboczych (cités ouvrières) było w r. 1862 domków oddzielnych z ogródkami lub bez 618, dalej w rozmaitych prowincjach niemieckich, jak w Koblenz, w Görlitz, w Lüdenscheid w Bawarii i wielu innych. Przymtem autor rozbiiera wartość mieszkań dla rolników w koszarach, czyli mieszkania wspólne i mieszkania oddzielne dla każdej rodziny, i bardzo słusznie, podług nas, oświadcza się za systemem domków oddzielnych, o ile można z ogródkami.

Tyle o *Wiedzy*, o której to tylko jeszcze dodamy, że tłumaczenie, z wyjątkiem pierwszego zeszytu, jest dobre, a popularność wykładu, z wyjątkiem znowu drugiej połowy zeszytu o *Cenie pracy*, także zadowolić może.

Ostatnia broszura pod nazwą: *Obecne i dawniejsze stanowisko rolnictwa*, jest radą dla rolników bardzo na czasie, że rutyna prastara w bardzo rzadkich już tylko wypadkach jest dobrą w rolnictwie, i że dzisiejsze rolnictwo, aby odpowiedziało potrzebom ludzkości, potrzebuje koniecznie oprzeć się na nauce. Autor charakteryzuje dawniejsze rolnictwo tem, że ono używało tylko jednego czynnika produkcji, bardzo mało pomagając naturze, i system ten zowie *ekstensywnym*; dzisiejsze zaś rolnictwo opiera się już nie na samej naturze, ale wymaga wiele pracy, nauki i kapitału, i ten system zowie się *intensywnym*. W pierwszym wypadku obsiwa się znaczne obszary i po wyjałowieniu ich przechodzi na inne; w drugim razie uprawia się mały kawałek ziemi, ale całkowicie, i podwójne nieraz plony odnoszą się z niego w ciągu roku. Jest tam jeszcze wiele innych ciekawych spostrzeżeń, jak np. że podwojenie pracy w rolnictwie nie podwaja plonów; że ekstensywne systemy rolnicze stosowne są dla niskiego, a intensywne dla wysokiego stopnia oświaty narodowej; że zyskowniejszy jest kawałek dobrze uprawionej roli, niż ogromne pola zaniedbane, o czém już Rzymianie wiedzieli i t. p. Zakończą krótkie a zwięzłe opisanie, co zrobili dla rolnictwa Walleryusz, Lavoisier, Fourcroy, Thaer, zwany reformatorem rolnictwa, a szczególnie Liebig, którego nauka o powracaniu ziemi w nawozie tyle pierwiastków pożywnych, ile z niej wyciągnęły ziemiopłody, musi stać się prawdą kardynalną i podstawą przyszłej pomyślności rolnictwa i ludów. Dziś nie wszyscy jej jeszcze uznają, bo stoją temu często na zawadzie sobkostwo rolników i złe systemata dzierzawne; ale gdy oświata, moralność i stosunki ekonomiczne silniej się rozwijają, prawdy Liebiga muszą być przez wszystkich przyjęte.

A. Makowiecki.